

Powiat



Nr 1-2 (95-96), Styczeń - Luty 2009
Rok IX * ISSN 1730-7686

SŁUPSKI

Nowy most
Budżet na 2009 rok
Bańki na zdrowie
Wokół Gardna
Broniek Pyszyński
Donoszę na samego siebie
Człowiek ucieka przed Kościołem
Aspekt religijny w dawnym lecznictwie
Wieś Tworząca





ZMIANA GRANIC MIASTA SŁUPSKA
KONSULTACJE SPOŁECZNE - BIERKOWO 2009



Droży Czytelnicy!

Kryzys gospodarczy dotyka coraz bardziej polską gospodarkę, wszyscy zastanawiamy się, w jakim stopniu dotknie region słupski i jak sobie z nim poradzimy? Ostatnie dane statystyczne, przedstawione przez Powiatowy Urząd Pracy na pierwszym w tym roku posiedzeniu Powiatowej Rady Zatrudnienia, nie są dobre. Wynika z nich, że liczba zarejestrowanych bezrobotnych wynosiła ponad 8,8 tys. osób i w porównaniu z grudniem ub. roku wzrosła o ponad 1,2 tys. osób. W styczniu 2009 r. zarejestrowano 1820 nowych bezrobotnych, ale z ewidencji wykreślono 600 osób, w tym niespełna 300 z powodu podjęcia pracy.

Eksperti ds. rynku pracy ostrzegają, że bezrobocie u nas będzie jeszcze rosnąć, jest to naturalna konsekwencja spadku produkcji i konsumpcji. Nasza gospodarka jest powiązana z gospodarką Unii Europejskiej, tam załamanie popytu nastąpiło wcześniej, my też będziemy odczuwać jego skutki. Na wzrost bezrobocia i trudności rynkowe będzie miał również wpływ powrót rodaków z zagranicy, swoje piętno odcisną wahania walut.

Rząd zapowiada już interwencję na rynku walut i w obronie przedsiębiorców. Wszystko to dzieć będzie się na szczeblu krajowym i z pewnością przełoży się na sytuację w regionach. Na rynku lokalnym formy reakcji na sytuacje kryzysowe są już znane od dawna. Są to szkolenia, staże, fundusze na tworzenie miejsc pracy i samozatrudnienie, sprzyjające zachęty podatkowe. Wszystko to, co może służyć bezrobotnym, ale też pomóc przedsiębiorcom. Proponuje się również powrót do prac interwencyjnych i robót publicznych, oraz tzw. półzatrudnienie.

Powiatowy Urząd Pracy wydał w 2008 roku z Funduszu Pracy na aktywne programy przeciwdziałania bezrobociu prawie 17,5 mln zł. Najwięcej na stypendia na okres stażu – 4,5 mln zł, następnie na podjęcie działalności gospodarczej – 3,6 mln zł, na szkolenia – 2,6 mln zł, refundację kosztów wyposażenia i doposażenia stanowisk pracy – 2,2 mln zł. Rozwijał się rynek usług, a to stwarzało możliwości samozatrudnienia w ramach podejmowanej działalności gospodarczej. Okazuje się, że pracodawcy chętnie korzystali z subsydiowanego zatrudnienia w formie prac interwencyjnych – na ich organizację wydano 1,8 mln zł, na roboty publiczne – 1,1 mln zł, a na stypendia dla osób odbywających przygotowanie zawodowe – ponad 814 tys. zł.

Nie ma jeszcze decyzji o przyznaniu limicie środków z Funduszu Pracy na 2009 rok. Należy sądzić, że pewnie nie będzie ich mniej niż w roku ubiegłym. Wiadomo już, że udzielana będzie jednorazowa pomoc na podjęcie działalności gospodarczej, refundowane będą koszty wyposażenia lub doposażenia stanowisk pracy utworzonych dla bezrobotnych, zwracane koszty przejazdu z miejsca zamieszkania do miejsca zatrudnienia oraz koszty zakwaterowania. Organizowane będą również szkolenia, z pewnością gminy obniżą będą przedsiębiorcom podatki.

Jak te wszystkie i inne jeszcze działania wpłyną na walkę z kryzysem, czy okażą się w niej skuteczne? Na te pytania wkrótce poznamy odpowiedź. Oby była ona optymistyczna.

Sławomir Ziemanowicz
Starosta Słupski

„POWIAT SŁUPSKI” - Biuletyn Informacyjny

Wydawca: Starostwo Powiatowe w Słupsku. Redaguje zespół: **Zbigniew Babiarz-Zych** (przewodniczący), **Leszek Kreft** (z-ca przewodniczącego), **Jan Fąfara**. Adres redakcji: Wydział Polityki Społecznej, Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14, tel. 059 842 54 17, fax. 059 842 71 11; e-mail: zych@powiat.slupsk.pl; Skład komputerowy i łamanie: **Artur Wróblewski**. Zdjęcia: **Jan Maziejuk, Leszek Kreft**. Druk: Zakład Poligraficzny „Grawipol”, 76-200 Słupsk, ul. Poznańska 42. Na okładkach: *Dziewczyny pięknieją nie tylko na wiosnę; zima w Ustce.*

Biuletyn rozsyłany jest do radnych, parlamentarzystów, sołtysów, jednostek OSP, szkół, domów kultury, jednostek organizacyjnych powiatu, firm biznesowych oraz urzędów miast i gmin. Zamieszczany jest również na stronie internetowej: www.powiat.slupsk.pl

W numerze:

| | |
|--|----|
| Bez zbędnych dyskusji i sprzeciwów | 4 |
| Bałtyckie Centrum Czystej Energii | 4 |
| Budżet na 2009 rok | 5 |
| Podziwiany | 6 |
| Z premierem | 6 |
| Tysiąc ptaków | 7 |
| Pracodawcy nie chcą niepełnosprawnych? | 8 |
| Dla turystów | 8 |
| Ciąć racice | 9 |
| By każdy był szczęśliwy | 10 |
| Ćwiczenia z obrony | 10 |
| Do spółki z królami | 11 |
| Nie było miejsca... | 12 |
| Bańki na zdrowie | 12 |
| Noworoczne zwyczaje | 13 |
| Wielkie serce Agnieszki Dul | 14 |
| Pasjonaci wędrówek po regionie | |
| i - nie tylko | 14 |
| Nowy most | 15 |
| Sześć punktów dla niewidomych | 16 |
| Na Nowy Rok | 17 |
| Malarz - ogniomistrz | 18 |
| Naleśnikiz oranżadą | 19 |
| Bronek Pyszyński | 20 |
| Maziejuka prawda o świecie | 21 |
| Wokół Gardna | 22 |
| Donoszę na samego siebie | 24 |
| Dechami zabita | 26 |
| Człowiek ucieka przed Kościołem | 28 |
| Nie tylko pochwała internetu | 30 |
| Ostatni tacy... | 32 |
| Echo kaszubskich pieśni odbijało się o szczyt Śnieżki | 34 |
| Sztuka „akcji” – alternatywna forma terapii | 34 |
| Zapomniany Ikar dwudziestego wieku | 36 |
| Aspekt religijny w dawnym leczeniu ludowym zwierząt | 36 |
| Tam, gdzie jest park podworski i była ferma „tysiaca krów” | 39 |
| Anioł przyleciał | 42 |

Bez zbędnych dyskusji

Sesja Rady Powiatu Słupskiego 27 stycznia br. przebiegała sprawnie, a sprawozdania i uchwały przechodziły w głosowaniach, bez zbędnych dyskusji i sprzeciwów.



Fot. L. Krefit

Bałtyckie Centrum Czyste

Działalność BCCE będzie oparta na ścisłej współpracy z projektowanym Słupskim Inkubatorem Technologicznym oraz Akademią Pomorską i Wyższą Hanzeatycką Szkołą Zarządzania w zakresie optymalnego wykorzystania potencjału naukowo-badawczego obu uczelni.

z prac zarządu

Zarząd Powiatu Słupskiego uzgodnił plan zagospodarowania przestrzennego parku elektrowni wiatrowych i biogazowych w miejscowości Darżyno, w gminie Potęgowo. Zapoznał się z informacją na temat opiniowania i uzgadniania w 2008 roku warunków realizacji przedsięwzięć mogących znacząco oddziaływać na środowisko. Wpłynęło 68 wniosków od wójtów i burmistrzów o wydanie opinii. W 18 sprawach zaszła konieczność sporządzenia raportów. Wydano łącznie 34 postanowienia uzgadniające warunki realizacji inwestycji.

Powiat Słupski podpisał porozumienie o utworzeniu Bałtyckiego Centrum Czystej Energii w Słupsku. Zobowiązał się do zapłaty na rzecz Pomorskiej Agencji Rozwoju Regionalnego S.A. (lidera projektu) 6 tys. zł na opracowanie koncepcji BCCE. Zostanie ono zlecone Fundacji Poszanowania Energii w Gdańsku. Partnerami porozumienia są też gmina miejska Słupsk, Akademia Pomorska w Słupsku oraz Wyższa Hanzeatycka Szkoła Zarządzania. Działalność BCCE będzie oparta na ścisłej kooperacji z projektowanym przez Lidera Słupskim Inkubatorem Technologicznym oraz Akademią Pomorską i Wyższą Hanzeatycką Szkołą Zarządzania w za-

kresie optymalnego wykorzystania potencjału naukowo-badawczego obu uczelni.

Przygotowywana jest niezbędna dokumentacja do ubiegania się o środki z Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Pomorskiego. Chodzi o fundusze na przebudowę Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Damnicy oraz remont siedziby starostwa przy ul. Szarych Szeregów 14 w Słupsku.

W styczniu wybrano wykonawcę na roboty na drodze powiatowej 1153G Reblino-Wrząca. Zakres zamówienia obejmuje dwa odcinki drogowe. Prace polegają na poszerzeniu nawierzchni z 4 do 5,5 m wraz z wykonaniem poboczy oraz oczyszczeniem rowów przydrożnych. Wartość robót zamknie się kwotą ok. 2 mln zł - przy wspólnym finansowaniu z gminą Kobylnica.

Zakończone zostały prace przy przebudowie mo-



kusji i sprzeciwów

Taki przebieg sesji jest wynikiem dobrej pracy radnych w komisjach, na których problemy są analizowane, a wszelkie wątpliwości wyjaśniane.

Starosta słupecki Sławomir Ziemiłowicz składając sprawozdanie z prac Zarządu za okres między sesjami zaznaczył, że nie ma konfliktu pomiędzy nim a prezydentem miasta Słupeka na tle wystąpień do Kancelarii Premiera RP w sprawach związanych z rekompensatami za umiejscowienie tarczy antyrakietowej na terenie powiatu słupeckiego. - Takie były ustalenia, że ja w imieniu samorządowców będę przekazywał wszystkie nasze propozycje do gabinetu premiera, aby dokumenty były składane razem w jednym czasie i miejscu. To mia-

ło usprawnić pracę i przyspieszyć procedury – mówił starosta. - Niezależnie od tego, jak w przyszłości będzie rozwijała się koncepcja budowy tarczy, rząd nie wycofał się ze swoich obietnic. Pierwsze widoczne efekty to nadanie drodze ze Słupeka aż do samego portu w Ustce statusu drogi krajowej. Gminie Słupeck przekazano 110 ha gruntów w okolicach Głębina z Agencji Mienia Wojskowego. Kolejne 18 ha gruntów z Agencji Nieruchomości Rolnych przekazanych zostanie na poszerzenie strefy ekonomicznej w Redzikowie. Docelowo przejętych zostanie jeszcze z Agencji Nieruchomości Rolnych 100 ha ziemi.

Starosta złożył sprawozdanie z działalności Komisji Bezpieczeństwa i Porządku Publicznego w 2008 roku. Komisja jest ciałem opiniotwórczym w zakresie realizacji zadań dotyczących bezpieczeństwa mieszkańców powiatu słupeckiego, a do udziału w jej posiedzeniach zapraszane są osoby z powiatowych służb, inspekcji, straży. Współpracowano z samorządami miast i gmin powiatu, a efektem tej współpracy jest m. in. zmniejszenie się wskaźników przestępczości i wzrost dys-

cypliny społecznej.

Na sesji uchwalono Program zapobiegania przestępczości oraz ochrony bezpieczeństwa i porządku publicznego na lata 2009 – 2011. Wynika on z ustawowego obowiązku samorządu. Radni przyjęli też Programu współpracy powiatu słupeckiego z organizacjami pozarządowymi na 2009 rok. Program ten określa cele, zasady, formy współpracy oraz zadania, które zostaną powierzone w trybie otwartego konkursu ofert organizacjom pozarządowym. Współpraca taka pozwala m.in. wykorzystać inicjatywy obywatelskie, łączyć siły i środki na zaplanowane przedsięwzięcia.

Uchwalono również regulamin określający wysokość oraz szczegółowe warunki przyznawania nauczycielom dodatków, a także tryb udzielania i rozliczania dotacji dla szkół i placówek oświatowych powiatu. Przyjęto sprawozdanie Komisji Rewizyjnej z przeprowadzonych kontroli w jednostkach organizacyjnych powiatu w 2008 roku, sprawozdanie z pracy komisji Rady Powiatu Słupeckiego za II półrocze 2008 roku oraz powołano Komisję Statutową Rady Powiatu Słupeckiego. (K)

ej Energii

stu w Charnowie w ciągu drogi powiatowej 1110G Charnowo - Gałęzinowo. Przebudowa była pierwszym etapem zadania realizowanego wspólnie z gminą Ustka, dofinansowa-

nego ze środków Regionalnego Programu Operacyjnego. Cała inwestycja obejmie dwa odcinki dróg Charnowo-Gałęzinowo i Gałęzinowo-Wielichowo na długości około siedmiu kilometrów. Całkowity koszt realizacji zadania wynosi ponad 9,2 mln zł (ze środków EFRR ma pochodzić ponad 6,1 mln zł).

Grażyna Śniadała
Wydział Organizacyjny

Budżet na 2009 rok

**Nowy budżet powiatu słupeckiego:
dochody - 64.495.423 zł; wydatki -
71.858.606 zł; deficyt - 7.363.183 zł.**

Powiat zaciągnie kredyt w wysokości 9.113.183 zł na realizację programu inwestycyjnego - obliczonego na 11.924.864 zł.

Starosta S. Ziemiłowicz, przedstawiając radnym na grudniowej sesji założenia budżetowe, powiedział: - Budżet ten nie uwzględnia w całości wydatków inwestycyjnych w ramach RPO i tzw. schematów, które znacznie zwiększą kwoty wydatkowane, zwłaszcza na remonty dróg powiatowych, prowadzone wspólnie z gminami. Zakłada wzrost płac w jednostkach organizacyjnych powiatu, a w szczególności w domach pomocy społecznej. Zaplanowano w nim też większe niż dotychczas wydatki remontowe, m.in. w oświacie oraz na renowację budynku starostwa. (K)



Fot. J. Maziejuk

W Polsce administracja samorządowa jest częścią aparatu władzy i administracji publicznej, która podnosi jakość zarządzania sprawami publicznymi.

Podziwiani

Starosta Sławomir Ziemianowicz znalazł się w pierwszej trójce nominowanych do nagrody Innowator - Najbardziej Podziwiany Starosta 2008 roku.

Tytuł ten ma wyróżnić osobę, która za dokonania w swojej jednostce samorządowej cieszy się największym uznaniem środowiska samorządowców. W tym roku laureatem został Jacek Włodyga, starosta jeleniogórski. Uznaniem środowiska zdobyli w swoich kategoriach również: Adam Struzik - marszałek województwa mazowieckiego, Paweł Adamowicz - prezydent Gdańska, Jan Leszek Wiącek - burmistrz miasta i gminy Wołczyn oraz Ryszard Nawrocki - wójt gminy Stare Miasto. Nagrodę specjalną Grand Innowator otrzymał Adam Struzik.

W uroczystej gali, która odbyła się w Warszawie uczestniczyło ok. 400 osób - elita liderów samorządowych oraz osoby publiczne z Polski i zagranicy. Honorowymi gośćmi byli m.in. Eric Pickles - członek parlamentu Wielkiej Brytanii, sekretarz stanu ds. samorządu w gabinecie cieni Partii Konserwatywnej oraz Jan Olbrycht - wiceprzewodniczący Komisji Rozwoju Regionalnego Parlamentu Europejskiego.

W swoim okolicznościowym powitaniu J. Olbrycht zwrócił uwagę na ogrom-



ne znaczenie samorządu terytorialnego w jakości zarządzania sprawami publicznymi. - Jest to szczególnie ważne dzisiaj, kiedy w Unii Europejskiej rozmawia się na temat, jaką rolę powinien pełnić samorząd terytorialny różnych szczebli w zarządzaniu sprawami publicznymi, w tym również funduszami. W Traktacie Lizbońskim wprowadzono nowy zapis o tym, że podstawowymi partnerami w realizowa-

go. Równolegle trwały panele konferencyjne w kilku blokach tematycznych związanych m.in. z promocją miast i regionów, zarządzaniem finansami publicznymi oraz informatyzacją urzędów.

Honorowego patronatu imprezie udzielił Grzegorz Schetyna - minister spraw wewnętrznych i administracji.

Maria Matuszewska
Wydział Rozwoju Powiatu i Inwestycji

Z premierem

Do Jezierzyc zawitał premier Donald Tusk i wziął udział w dorocznej wigilii seniorów.

- Bardzo się cieszę, że mogę wziąć udział w takiej uroczystości - powiedział premier. Wszystkim obecnym złożył życzenia zdrowia oraz spokojnych świąt w rodzinnym kręgu. Seniorzy powitali premiera gromkimi brawami. Mie-li również okazję podzielenia się z nim oplatkiem.

Wspólną modlitwę poprowadził biskup ks. Edward Dajczak. Goście obejrzeli jasełka przygotowane przez uczniów najmłodszych klas Szkoły Podstawowej w Głobinie. Za występ osobiście podziękował im premier. Wszyscy mieli również możliwość wspólnego kolędowania z gminnymi zespołami: Babie Lato, Świtezianki i Bierkowaniki. (E. L.)





Tysiąc ptaków

Fot. M. Matuszewska

Ponad 60. wystawców z Pomorza Środkowego, Trójmiasta i Wielkopolski zaprezentowało się na wystawie gołębi w Kobylnicy.

W Kobylnicy można było podziwiać piękne okazy gołębi, kur i bażantów. Wystawę zorganizowano tu po raz czwarty. W dniach 10 - 11 stycznia br. Po raz czwarty patronat objęli nad nią starosta ślupski Sławomir Ziemianowicz i wójt gminy Kobylnica Leszek Kuliński. Głównym organizatorem był Środkowopomorski Związek Hodowców Gołębi Rasowych i Drobego Inwentarza w Koszalinie.

W Kobylnicy pojawiło się ponad 60 wystawców z Pomorza Środkowego, Trójmiasta i Wielkopolski, którzy zaprezentowali 84 rasy gołębi ozdobnych, 12 ras kur oraz bażanty i pawie. W sumie w hali widowiskowo-sportowej Zespołu Szkół Samorządowych pokazano ponad 1040 ptaków. Czternastu sędziów przyznało 82 puchary, a Łukasz Nerowski za dostojny okaz rasy couchois oraz Piotr Wojtewicz za uroczy gołąb z ufrzyzowanym upierzeniem rasy loczek otrzymali puchary starosty ślupskiego oraz wójta Kobylnicy.

Nagrody zwycięzcom wręczali Barba-

ra Usowicz - dyrektor Zespołu Szkół Samorządowych w Kobylnicy, Andrzej Bury - wicestarosta ślupski, Jan Plutowski - zastępca wójta gminy Kobylnica oraz Marian Jarząbek - komisarz wystawy.

Swoje okazy hodowlane prezentowali głównie mężczyźni, jednak wśród pasjonatów znalazły się także dwie panie - Danuta Treder oraz Anna Witusińska. Najmłod-

szym wystawcą był 11-letni Patryk Witusiński z powiatu łęborskiego. Poza widzami oglądającymi piękne ptaki na wystawie pojawili się także hodowcy, którzy chcieli kupić okazy do swojej hodowli. Handlowano przede wszystkim różnymi rasami gołębi, ale także kurami i pawicami.

Maria Matuszewska
Wydział Rozwoju Powiatu i Inwestycji



Fot. Archiwum autora

Fot. J. Maziejuk

Ponad połowa firm nie wie, jakie może mieć korzyści z zatrudnienia osób niepełnosprawnych. Ponad połowa nie zamierza zatrudnić takich osób w ciągu najbliższych dwóch lat. Planuje takie zatrudnienie tylko 15 proc. firm.

Pracodawcy nie chcą niepełnosprawnych?

Pracowania PBS DGA z Sopotu przeprowadziła analizę barier w zatrudnieniu osób niepełnosprawnych. Badaniami objęto zakłady pracy chronionej i inne zakłady zatrudniające po sześć i więcej procent osób niepełnosprawnych, osoby niepełnosprawne zarejestrowane w PUP w Słupsku i organizacje takich osób.

Przeprowadzono 213 wywiadów z pracodawcami, 15 z osobami niepełnosprawnymi i 5 w instytucjach wspierających zatrudnienie osób niepełnosprawnych. Z przeprowadzonych badań wynika, że 52 proc. firm niezatrudniających niepełnosprawnych nie wie, jakie może mieć korzyści z zatrudnienia takich osób. Ponad połowa firm nie zamierza zatrudnić osób niepełnosprawnych w ciągu najbliższych dwóch lat, a tylko 15 proc. planuje takie zatrudnienie. Ponad połowa firm nie zatrudnia niepełnosprawnych, ponieważ twierdzi, że ich specyfika pracy wyklucza zatrudnienie takich osób. 23 proc. firm nie zatrudnia, bo nie ma możliwości zwiększenia zatrudnienia. W 22 proc. firm powiedziano ankier-

terom, że nie zgłaszają się do nich osoby niepełnosprawne.

W firmach zatrudniających osoby niepełnosprawne, 74 proc. zatrudnionych takich osób posiada lekki stopień niepełnosprawności, 25 proc. umiarkowany, a tylko 0,2 proc. znaczny. Blisko 60 proc. zatrudnionych wykonuje prace umysłowe i fizyczne, 32 proc. - prace fizyczne, 9 proc. - umysłowe.

Na koniec listopada 2008 roku w PUP zarejestrowane były 652 osoby niepełnosprawne - 395 ze Słupska i 257 z powiatu słupskiego. Niepełnosprawni stanowią 8,9 proc. ogółu zarejestrowanych bezrobotnych. W 2008 roku PUP dysponował dla nich 297 ofertami pracy (186 ze Słupska i 111 z powiatu). Jeżeli stan zdrowia osoby niepełnosprawnej na to pozwalał, osoba taka była kierowana do otwartego pośrednictwa pracy. Łącznie w 2008 roku 541 osób niepełnosprawnych zarejestrowanych w PUP podjęło zatrudnienie.

W głównej mierze środki przeznaczone na aktywizację takich osób po-

chodzą z Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych oraz z Funduszu Pracy. W roku 2008 PUP otrzymał z PFRON 122 000 zł na szkolenia osób niepełnosprawnych i poszukujących pracy, pochodzących ze Słupska. Natomiast dla powiatu słupskiego pozyskano kwotę 585 913 zł na aktywizację 84 osób posiadających orzeczenia o stopniu niepełnosprawności. Środki te przeznaczone na szkolenia, refundację części kosztów wynagrodzeń dla pracodawców tworzących nowe miejsca pracy, na dotacje dla osób rozpoczynających działalność gospodarczą oraz na doposażenie i wyposażenie stanowisk pracy.

Współpraca z pracodawcami zatrudniającymi osoby niepełnosprawne w głównej mierze koncentruje się na udzielaniu środków na doposażenie lub wyposażenie stanowisk pracy, bądź na prace interwencyjne. Obejmuje również pośrednictwo pracy.

Marcin Horbowy
Powiatowy Urząd Pracy w Słupsku

Dla turystów



Powiat Słupski zawarł porozumienie z Samorządem Województwa Pomorskiego w sprawie umiejscowienia w 2010 roku dwóch infomatów.

Jeden zainstalowany będzie przed budynkiem Starostwa Powiatowego w Słupsku, drugi - na terenie Centrum Edukacji Regionalnej w Warcinie, w obrębie tamtejszego zabytkowego pałacu Bismarcka. Oba zostaną zainstalowane w ramach realizacji projektu Zintegrowanego Systemu Informacji Turystycznej Województwa Pomorskiego.

Samorząd Województwa zaplanował uruchomienie w 2010 roku 50 takich infomatów, a do czerwca 2011 - pozostałych 200 na terenie całego województwa. Informacje dla turystów będą do nich przekazywały Lokalne Organizacje Turystyczne.

Powiat słupski zobowiązał się do ustawienia infomatów w miejscach odwiedzanych licznie przez turystów, ponoszenia kosztów dostawy mediów, do ubezpieczenia i zabezpieczenia infomatów przed zniszczeniem. (K)

Ciąć racice



Amerykańscy naukowcy stwierdzili, że wydajność mleka spada już na dwa tygodnie przed wystąpieniem u krów kulawizn. Niestety, codzienna praktyka wykazuje, że nawet dobrzy hodowcy w naszym regionie, zaniedbują racice i ich nie pielęgnują.

Od ponad dziesięć lat w starostwie słupskim odbywają się zimowe szkolenia rolnicze, które organizują Ośrodek Doradztwa Rolniczego ze Strzelina i słupskie Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Rolnictwa. Są one doceniane nie tylko przez producentów rolnych z regionu słupskiego - również z terenu Sławna, Darłowa, Bytowa, a nawet Chojnic.

Grudniowe forum producentów mleka, zorganizowane przy udziale Zakładu Mleczarskiego z Kobylnicy, miało nieco inny przebieg niż w latach ubiegłych. Po wykładach i degustacji doskonałych ciast upieczonych przez pracownice z zakładu z Kobylnicy, grupa kilkunastu rolników udała się do gospodarstwa Zbigniewa Kędziora w Kończewie. Tutaj obejrzała pokaz korekcji racic u krów, który przeprowadzili pracownicy jednej z częstochowskich firm. Kulejące krowy często leżą, zjadają mniej paszy i tracą swoje miejsce w hierarchii stada. Chudną, a brak energii z paszy obniża ich

plodność i zdrowotność. Spada wydajność mleka i pogarsza się jego jakość. Schorzenia racic zmniejszają produkcję mleka, a brakowanie krów ze stada spowodowane kulawiznami, może wynieść nawet 20 procent. Spadek wydajności krów przekracza 15 procent, a nawet więcej. W mleku zwiększa się zawartość komórek somatycznych.

Amerykańscy naukowcy stwierdzili, że wydajność mleka spada już na dwa tygodnie przed wystąpieniem u krów kulawizn. Niestety, codzienna praktyka wykazuje, że nawet dobrzy hodowcy w naszym regionie, zaniedbują racice i ich nie pielęgnują. Rolnicy przypominają sobie o korekcji za późno i ograniczają ją często do krów z dużym zniekształceniem racic i już kulejących. Wynika to nie tyle z lenistwa hodowców, ile z trudności i dużego ryzyka wykonania zabiegu we własnym zakresie. Celem korekcji jest przywrócenie racicom właściwego kształtu tak, aby masa ciała zwierzęcia rozłożyła

się na twarde nośne elementy racic.

Podczas wykonywanego fachowo zabiegu krowę wprowadza się do specjalnego urządzenia, zamyka i podcina pasami. Następnie unosi się zwierzę z jednoczesnym położeniem na boku. Nogi są przypinane do wsporników, z wygodnym dostępem do racic. Korekcję wykonuje dwóch pracowników i trwa to do dziesięciu minut. Jeśli racice są chore, to zakłada się na nie opatrunki lecznicze. Po wykonanym zabiegu krowa stawiana jest na nogi, a po odcięciu pasów i otwarciu poskromu, wychodzi z urządzenia.

Pokaz w Kończewie zainteresował niektórych rolników. Już zgłosili częstochowskiej firmie przeprowadzenie tego zabiegu w swoich gospodarstwach. Na przedwiośnie będzie pewnie więcej chętnych. Gra jest naprawdę warta świeczki.

Kazimierz Jutrzenka
Ośrodek Doradztwa Rolniczego
w Strzelinie

Ćwiczenia z obrony

W Zespole Szkół Samorządowych w Redzikowie odbyły się gminne ćwiczenia z obrony cywilnej i bezpieczeństwa przeciwpożarowego.

W ćwiczeniach udział wzięli pracownicy Urzędu Gminy w Słupsku oraz gminnych jednostek organizacyjnych, jednostki Ochotniczych Straży Pożarnych, pracownicy i uczniowie. Wszyscy sprawdzali swoje umiejętności z prowadzenia działań ratowniczo-gaśniczych, ewakuacji ludności uwięzionej w pomieszczeniach odciętych przez pożar oraz w niesieniu pomocy poszkodowanym. Głównym celem ćwiczeń było jed-

nak sprawdzenie gotowości do realizacji zadań, do których poszczególne osoby funkcyjne zostały powołane w ramach gminnego systemu reagowania kryzysowego.

Ogólnie ćwiczenia się udały. Przetestowane zostały różne warianty postępowania. Uczestnicy pokazali, że dysponują wiedzą teoretyczną i umiejętnościami praktycznymi. Sumiennie wywiązywali się ze swoich zadań. **(P.R.)**



Fot. Paweł Rozenek

By każdy był szczęśliwy

W Poblociu, w budynku pod numerem 8 znajduje się Niepubliczny Zakład Opieki Zdrowotnej. Jestem tam pacjentką pana doktora Andrzeja Proniewskiego, który jest bardzo dobrym lekarzem, specjalistą medycyny ogólnej i rodzinnej, a teraz kończy specjalizację z psychiatrii.

Jako jego pacjentka jestem zadowolona, że mogę oddać w dobre ręce swoje zdrowie. Pan Proniewski leczy też całą moją rodzinę. Z całym swoim personelem medycznym tworzy jedną rodzinę medyczną, na którą zawsze można liczyć, kiedy potrzebuje się pomocy. Od kilkunastu lat leczy również moje dzieci stawiając im błędne diagnozy. Dzięki nim mogłam też skutecznie leczyć je u innych lekarzy, do których byłam kierowana.

Mój dziesięcioletni synek był również odpowiednio leczony. W trudnych sytuacjach zawsze pan doktor wspierał mnie duchowo. Czasem w ciężkich chorobach człowiek traci nadzieję i takie powstrzymanie na duchu jest bardzo ważne.

Pragnę podziękować za wszystko doktorowi Proniewskiemu. Pielęgniarki, które pracują w Ośrodku Zdrowia są również wspaniałe i życzliwe. Dwie ukończy-



ły Centrum Kształcenia Podyplomowego Pielęgniarek i Położnych, jedna jest po studiach pielęgniarskich w Słupsku.

Innym lekarzom nie mogę zapomnieć też podziękować za pomoc – na przykład kardiologowi Zbigniewowi Świątkowi. Gdy mój synek był w szpitalu na oddziale dziecięcym w Słupsku, a pan Świątek miał dyżur, nie tylko on był szczęśliwy, że przychodzi do niego taki wspaniały lekarz. Szczęście to nie opuszczało również innych dzieci. Ten doktor ma też właściwe podejście do małych pacjentów, jest dla nich przyjacielem, stawia bardzo trafne diagnozy. Pan ordynator oddziału dziecięcego Leszek Dębicki jest również przykładem dla innych lekarzy...

Jestem dumna z tego, że mamy takich dobrych lekarzy, u których dzieci czują się na wizycie jak we własnym domu, nie mają w oczach strachu przed spotkaniem z doktorem. Przeciwnie - są wyciszone i spokojne.

Życzę dużo zdrowia personelowi medycznemu z Poblocia oraz ze słupskiego szpitala. Oby każdy pacjent mógł być taki szczęśliwy, jak ja.

**Edyta Mielewczyk – Wilga
Główczyce**

Fot. E. Mielewczyk – Wilga



Do spótki z królami

W Szkole Podstawowej w Objeździe spotkały się zespoły, by walczyć o miejsca w V Powiatowym Konkursie Jasełek.

I w tym roku poziom był wyrównany, a każde przedstawienie inne. Przede wszystkim zachwycał i imponował wkład pracy i pomysłowość w wykonaniu strojów. Bibuła, akcesoria służące do zabawy i przerobione dla potrzeb spektaklu, zwoje materiałów, łańcuchy choinkowe - wszystko znalazło zastosowanie. Choć słowami należy nagrodzić uczestników za pomysłowość w tworzeniu scenografii i kostiumów.

Nie było też jednakowego widowiska. Chociaż każde było zgodne z regulaminem i nawiązywało do Bożego Narodzenia, każde ujmowało go inaczej. Los zdecydował, że pierwsi wystąpili aktorzy z Wytowna w tradycyjnym przedstawieniu. Były kolędy, Józef szukał schronienia dla Maryi, pastuszkowie spali zamiast czuwać. Potem do spótki z królami spieszyli oddać pokłon Dzieciątku.

Uczniowie ze Szkoły Podstawowej w Kończewie postawili na humor. Diabeł strofował Heroda: „Przestań ty mnie denerwować. Z kim ja muszę tu pracować!” Na szczęście dla diabła i na nieszczęście dla siebie, Herod wydał rozkaz uśmiercenia noworodków. Skończyło się to dla niego tragicznie: diabeł wraz ze swoimi dziećmi przyniósł wielki kocioł na duszę władcy, a czarcie potomstwo z ciekawością się przyglądało, jak „tata pracuje”.

Inne niż tradycyjne było przedstawienie uczniów ze Szkoły Podstawowej nr 3 w Słupsku. Pięciu przedstawicieli ziemskich kontynentów czekało na Jezusa i jego naukę. Reżyserzy zilustrowali przedstawienie nie tylko kolędami, ale i muzyką stylizowa-

ną na melodię Japonii, rytmów afrykańskich czy gorących brzmień wysp leżących niedaleko Australii. Całość nawiązywała do potrzeby ewangelizacji w różnych wymiarach - również w tym duchowym, którego przykładem była postać św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Ta nietypowa misjonarka, która nigdy nie wyjechała na misje z powodu stanu zdrowia, ofiarowała swoje modlitwy między innymi za misjonarzy.

Najmłodszą wiekowo grupą był zespół z Objazdy. Gospodarze pokazali przedstawienie o magii Bożego Narodzenia. Na rozkaz aniołów lekki wiatr obudził do życia grzyby, wrzos, leśne dzwonki, ptaki. Cała przyroda urodą chwaliła swojego Stwórcę, który przychodził na świat.

Wszyscy aktorzy mieli niełatwe zadanie: musieli dopasować się do ograniczonej przestrzeni szkolnego korytarza; choć były mikrofony, trzeba było starać się, aby publiczność dokładnie słyszała wypowiedzi. Widać było zaangażowanie odtwórców ról. Po nikim nie było znać tremy, czego mógłby im pozazdrościć niejeden zawodowy aktor.

Gościnnie szkoła w Objeździe w przewnie na obrady komisji zaprosiła aktorów i opiekunów na posiłek regeneracyjny. Była gorąca aromatyczna zupa z pieczywem oraz słodczyce i owoce - wszak do pracy potrzebna jest energia. A uczestnicy V Powiatowego Przeglądu Jasełek stracili jej wiele na odgrywanie ról, śpiewanie kolęd i koncentrację na scenie. Po posiłku był jeszcze mini konkurs, gdzie należało gestami zilustrować napis na kartce. Śmiechem i bra-

z udziałem anioła Gabriela. Były też pytania quizowe, na które wszyscy znali odpowiedzi - jak nazywają się pieśni śpiewane w okresie Bożego Narodzenia.

Komisja nie miała łatwego zadania. - Wkład pracy w wyuczenie się tekstu, zgranie z wszystkimi aktorami, obycie ze sceną wielu dzieci są niesamowite - mówiła Anna Lis, jedna z oceniających.

- Trzeba też wziąć pod uwagę wkład pracy w przygotowanie strojów i dekoracji, na pewno w wielu wypadkach zaangażowani byli nie tylko przygotowujący pedagodzy, ale inni nauczyciele i rodzice - mówił Marian Chachaj, przewodniczący komisji konkursowej.

- Ubiory są bardzo pomysłowe, uczniowie wyglądają w nich niesamowicie, a jednocześnie widać, że powstały przy minimalnych kosztach, co dodatkowo trzeba punktować.

Siostra Olga zwracała uwagę na zaangażowanie dzieci i umiejętności aktorskie.

Wszyscy niecierpliwie oczekiwali na wyniki. - Wszystkim należą się gorące brawa - mówił M. Chachaj przed odczytaniem wyników. - Włożona praca i wysiłek oraz zaangażowanie, żeby przygotować się i w wolnym dniu przyjechać na występy sprawiają, że wszyscy zasługujecie na nagrody.

I miejsce zajęła Szkoła Podstawowa w Kończewie, II - Szkoła Podstawowa nr 3 w Słupsku, III - Szkoła Podstawowa w Objeździe, wyróżnienie - Szkoła Podstawowa w Wytownie.

Małgorzata Budnik Żabicka
Urząd Gminy w Ustce

Nie było miejsca...

Wykonawcy nie odkrywają piękna starych zapomnianych kołęd i pastorałek, nie sięgają też odważnie po nowe.



Bańki na zdrowie

Chory leżał w łóżku, obok na stoliku przygotowano „do postawienia” bańki w kształcie małych szklanych patyczek. Unosił się zapach spirytusu, wata nakręcona na patyczek straszyla ogniem. Stawiająca zręcznym ruchem omiatała tym płomieniem wnętrze każdej bańki.

Kiedy wszyscy kichamy, kaszлемy, nę-kają nas przeziębienia przychodzi czas na zastanowienie, jakie to też sposoby na zimową chorobę można znaleźć w ludowej medycynie.

Pomijając traktowane z dużym przy-mrużeniem oka wszelkie „odczyniania” i czary, miały kiedyś miejsce też bardziej drastyczne praktyki. Jakie? Choćby wsadzanie chorego do nagrzanego pieca chlebowego na trzy „zdrowaśki”! Sposób ten do niedawna praktykowany był jeszcze na Kaszubach. Inna zaradność na przeziębienie? Przystawianie do ciała pijawek wcześniej hodowanych w szklanym słoju gdzieś w kącie mieszkania i „puszczanie” krwi...

Najbardziej jednak znane jest ziołolecznictwo. Lecz i tutaj zwykle należało zasięgnąć porady kogoś, kto się na tym dobrze znał. Inaczej można było choremu przysporzyć więcej złego niż dobrego. Prawie w każdej wiosce była osoba, która zajmowała się ziołami. Często widywano na przykład babcię od ziołolecznictwa obłądowaną koszami i naręczami wszelakich ziół. Sama je suszyła, warzyła i przygotowywała z nich różne mikstury.

W mojej rodzinnej wiosce była kobieta, która pomogła w przyjsciu na świat niejednemu dziecku. Była otaczana dużym szacunkiem. Dzieciom nakazane było nawet całować ją w rękę przy powitaniu. Na przeziębienia, zwłaszcza kiedy choroba się nasilała sięgano po... bańki. Jedyne one przepędzały zapalenie płuc czy oskrzeli. Stawianie baniek było wręcz

otoczone magią. Chory leżał w łóżku, obok na stoliku przygotowano „do postawienia” bańki w kształcie małych szklanych patyczek. Unosił się zapach spirytusu, wata nakręcona na patyczek straszyla ogniem. Stawiająca zręcznym ruchem omiatała



tym płomieniem wnętrze każdej bańki i szybko przystawiała ją do pleców chorego. Takich baniek stawiano mu czasa-

17 stycznia w Jezierzycach odbył się IX Powiatowy Przegląd Kolęd i Pastorałek, który zorganizowali – Gminny Ośrodek Kultury Gminy Słupsk i Starostwo Powiatowe w Słupsku. Wystąpili soliści, zespoły wokalne i zespoły ludowe z powiatu słupskiego – w sumie 28 wykonawców.

Celem organizowanego od 1999 roku przeglądu jest popularyzacja kolęd i pastorałek osadzonych głęboko w tradycji polskiej oraz promocja uzdolnionych artystycznie wykonawców. Warto przypomnieć, że w czwartym przeglądzie, który odbył się w 2003 roku w Kępicach, wzięło udział blisko 200 uczestników, w piątym - w Ustce też wystąpiło blisko 200 śpiewaków, a w szóstym - w Główczykach – ponad 220 wykonawców. Tylko w ubiegłorocznym, ósmym przeglądzie, który odbył się również w Kępicach zaprezentowało się najmniej, bo zaledwie 10 wykonawców.

Można zatem powiedzieć, że tegoroczny przegląd pod względem liczby występujących zespołów i solistów był udany. Można też zdecydowanie dodać, że wyróżniał się artystycznie. Wielu wykonawców prezentowało naprawdę niezły poziom, co dostrzegło również profesjonalne jury pracujące pod przewodnictwem Jolanty Otwinowskiej ze Słupska. Pojawiły się nowe zespoły, a niektórzy starzy bywalcy prezentowali się w zmienionych, chyba ciekawszych, składach.

Jeśli można mieć uwagi, to pewnie tylko do repertuaru, który się powtarza. Wykonawcy nie odkrywają piękna starych zapomnianych kolęd i pastorałek, nie sięgają też odważnie po nowe. Ale może z czasem i to się zmieni, bo akurat ten przegląd stwarza ogromne możliwości doboru repertuaru i artystycznych prezentacji. Nie pozwala tylko instruktorom występować razem z prowadzonym i przez nich zespołami, o czym nie zawsze wszyscy pamiętają.

Oto wyniki tegorocznego przeglądu: soliści: I miejsce – Ola Afanasjew z gminy Słupsk („Chrystus się narodził”), II miejsce – Martyna Czarna z Ustki („Nie było miejsca dla Ciebie”), III miejsce – Olga Śniegulska z Kępic („Mizerna cicha”); zespoły wokalne: I miejsce – „Tryton” ze Szkoły Podstawowej we Wrześciu („Złota Jeruzolima”), II miejsce – „Świtezianki” z Głębina („Bracia Pasterze”), III miejsce – „Trio” z Potęgowa („Kolędnicy, Wędrowcy”); zespoły ludowe: I miejsce – „Bierkowieńki” z Bierkowa („Lulajże, mi lulaj”), II miejsce – „Klęcianki” z Klęcina („W żłobie leży”), III miejsce – Zespół Folklorystyczny z Biesowic („Z narodzenia Pana”); Grand Prix: Echelle z Ustki („Pocztówka do św. Mikołaja”).

Zespół „Echelle” został także jednym z laureatów zakończonego niedawno Ogólnopolskiego Przeglądu Kolęd i Pastorałek w Szczecinku. Wykonawców oceniał tam m.in. Mieczysław Szcześniak. (M.W.)

mi kilkanaście - ile się zmieściło. Jedyne dzieciom stawiano mniej.

Następnie chorego przykrywano, a po upływie ok. 15 minut przystępowano do ich zdejmowania. Leciutko palcem uciskać należało skórę przy krawędzi bańki, która z charakterystycznym kłasnieniem odstawała. Po takiej kuracji plecy wyglądały jak pokolorowane granatową farbą.

Po „bańkowym” zabiegu należało pozostać co najmniej dwa dni w łóżku i dobrze się wygrzać. Jest to podobno sprawdzony sposób leczenia przeziębień do tego stopnia, że i w nowoczesnej medycynie lekarze coraz częściej zalecają go chorym. Dlaczego zalecane są bańki? Bo... organizm sam sobie „radzi” z powrotem krwi na należyte tory, wytwarzając przy tym przeciwciała, które przy okazji zwalczają chorobę. Dziś trudno jednak o „fachowca”, który by potrafił prawidłowo dokonać tego zabiegu. Więc lepiej dbajmy o swoje zdrowie. Nie zapomnijmy też, że są jeszcze tzw. „bańki cięte”, które z



pewnością nie należą do przyjemnych.

Henryka Jurałowicz – Kurzydło Słupsk

Noworoczne zwyczaje

Bywało, że do stawu wjeżdżały wozy, maszyny rolnicze, które nieraz długo stały w wodzie. Wielkie drewniane wrota zdejmowano z zawiasów i stawiano obok, by czekały na właściciela.

Istnieje taki zwyczaj ludowy, że Stary Rok płata różne figle, by Nowy Roczek, jeszcze bardzo młody, szybko przyzwyczałał się do pracy. Tak jest w Karsinie od ponad pół wieku. Młodzież rodzaju męskiego zadaje sobie trochę trudu, aby ucieszyć się tym, co robi. Robiono różne figle. Bywało, że do stawu wjeżdżały wozy, maszyny rolnicze, które nieraz długo stały w wodzie. Wielkie drewniane wrota zdejmowano z zawiasów i stawiano obok, by czekały na właściciela.

Nigdy nie pominięto szkoły. Bramki i furtki zawsze wędrowały po wsi. Nie zapomnę jednego z Sylwestrów. Na podwórku prywatnym przy szkole leżało porżnięte, przygotowane do rąbania drewno (około trzech metrów). Rano w Nowy Rok otworzyłam drzwi. A tu – o dziwo! – sterła drewna! Pniaki wpadają w korytarzyk. W tym momencie ogarnął mnie śmiech, lecz wkrótce opuścił na myśl, że trzeba się zająć przeniesieniem drewna. Od tej pory wiem,

że na dzień 31 grudnia trzeba wszystko z podwórka chować, nawet zbiornik na śmieci.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku w Karsinie często urządzano zabawy sylwestrowe, których nie ma w obecnych czasach. A jak wyglądał Sylwester w roku 2008/2009? Wozów konnych prawie nie ma. Jeden stawek płytki został zasypany, bo na jego miejscu powstał przystanek autobusowy. Powstał drugi staw przeciwpożarowy, dosyć głęboki, ogrodzony.

Młodzież jest obecnie wygodniejsza, więc nie chce się jej dźwigać ciężkich wrót, zaspokoi się furtkami i bramkami od płotów. Toteż w Nowy Rok każdy patrzył czego brakuje w jego posesji. Furtki i bramki leżały po rowach, w krzakach, za płotami innych gospodarstw. Jedna bramka była specjalnie potraktowana, ponieważ wniesiono ją na dach świetlicy.

Stanisława Paszylik, Karsino

Pasjonaci wędrówek p

Dotyczy mój dzisiejszy zapis reporterski IX Rajdu Zimowego, który od roku 2000 inauguruje sezon w turystyce pieszej na Ziemi Słupskiej.



Wielkie serce Agnieszki

Są ludzie, którzy łamią wszelkie stereotypy osoby niepełnosprawnej, nieporadnej życiowo, która z założonymi rękami czeka tylko na pomoc innych, nie dając nic od siebie.

Agnieszka Dul Dębnicy Kaszubskiej od urodzenia jest osobą niepełnosprawną. Choruje na mózgowo-porażenie dziecięce o postaci czterokończynowej ogólnej, spastycznej i pozapiramidowej. Dla wielu z nas są to nic nikomu nie mówiące nazwy, lecz w rzeczywistości to zbiór ciężkich chorób. Porażenie ogólne czterokończynowe obejmuje wszystkie kończyny - ręce i nogi, a spastyczne to inaczej nadmierna sztywność mięśni. Porażenie pozapiramidowe natomiast, to porażenie, w którym występują ruchy mimowolne, niekontrolowane przez mózg. Pani Agnieszka, mimo takich przeciwności losu, nie poddaje się.

Obecnie jest studentką II roku pedagogiki z doradztwem społeczno-zawodowym na Akademii Pomorskiej w Słupsku. Mimo swojej niepełnosprawności pomaga innym, doświadczonym przez życie studentom. Od kilkunastu lat „uprawia” niemodną już dziś profesję, a mianowicie poezję. Jak sama mówi: „Pisanie jest największą miłością mojego istnienia, jest pasją, która nadaje mi sens i cel do dalszego działania i pokonywania własnych ograniczeń i nieprzekraczalnych granic ludzkich możliwości”. Pasja ta po-



o regionie i - nie tylko

Trasa wymienionej włóczęgi per pedes: dukty i bezdroża o łącznej długości 8,5 kilometra, między Jezierzycami i grodem nad Słupią. Tej zimy (ściśle pod koniec stycznia) szczególnie uciążliwej – dodać trzeba – wędrowki w przysłowiowe nieznanne. Bo prawie wszędzie pełno zlodowaceń, płacht lub hałd śniegu, względnie... grzęzawisk po wcześniejszych roztopach. Nie dziw więc, że przy uzupełniających nadwątlone siły garach z tradycyjną grochówką wojskową szef a zarazem patron rajdu (poprzez Klub Turystyki Pieszej Mikołajek) Jacek Grabowski oraz dwoje współorganizatorów rzeczonyj imprezy: Barbara Leśniak i Michał Wasilek – musieli dwoić się i troić, aby każdemu ze 139 rajdowiczów starczyło vis vitalis na udział w z górą półtoragodzinnym konkursie pn. „Uroki zimy”.

Skoro już o rajdowiczach mowa. Kto wiodł prym wśród nich? Jak zwykle, słupszczenie. Podopieczni Piotra Krysiaka z SP nr 10, młodzież z „piątki” (koło Anny Wolikow-

skiej i Karoliny Machutty-Gałązki), uczniowie Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych nr 1 (op. Karolina Żelikowska, Tomasz Korczyński), wreszcie – ex aequo – uczniowska brać ze szkolnych kół PTTK przy słupskim Ekonomiku (op. Urszula Strzykowska) i Zespole Szkół Technicznych w Ustce (op. Arnold Szczucki). Och, zapomniałbym. Po raz pierwszy ściągnęła do Jezierzyc i Słupska całkiem liczna grupa młodych koszalinian. Samo ciśnie się na usta marynarskie: tak trzymać!

Zwycięzcy ww. konkursu (obdarzeni w nagrodę, prócz honorowych odznak, atrakcyjnym sprzętem turystyczno-sportowym) to: Dawid Ziemiała z SP 5 przed Martyną Majewską z SP 10 i – ex aequo – Kacprem Janickim z SP 5, Kingą Makuch (SP 10), Karoliną Kubiszewską (SP 5) i Grzegorzem Wróblem (również SP 5).

Serdeczne gratulacje należą się nie tylko dla laureatów, również wszystkim 139 fanom turystyki i krajoznawstwa, którzy

kolejny raz pokazali, iż sumptem... 4 - 6 zł można we wspaniałej atmosferze spędzić wolny od nauki i pracy dzień.

Po ukończeniu tych zapisków spotkałem się na przystani żeglarskiej w Gardnie z Januszem Grabowskim – sekretarzem Słupskiego Oddziału PTTK, który doglądał podopiecznej placówki przed zbliżającym się (22 II) zjazdem regionalnym Towarzystwa.

- Obrzeże jeziora Gardno – stwierdził w rozmowie – stanowi, jak bez wątpienia Ci wiadomo, główną bazę naszych regat, zlotów, rajdów, wycieczek. Organizowanych bez jakiegokolwiek dotacji z zewnątrz. Wyłącznie w oparciu o tzw. środki własne. Czyli poprzez symboliczny z reguły wkład finansowy 623 członków (w 90 proc. uczniów) oraz 25 – także wymagających wsparcia gotówką – kół i klubów petetekowskich. Komentarz chyba zbyteczny. (el)

Fot. M. Kruk

ki Dul

zwala jej na pokazanie ludziom własnych myśli i uczuć i tych wszystkich wartości, które są dla niej najważniejsze. Mówi, że pisze po to, by „ludzie zdrowi dostrzegli piękno myśli spisanych przez człowieka niepełnosprawnego”. Jak pisze w jednym ze swoich wierszy - „jestem poetą, człowiekiem z krwi i kości, w słowie szukającym miłości”.

Nie są jej obce również inne gatunki literackie. We wrześniu 2008 roku nakładem Wydawnictwa Salwator ukazała się jej autobiograficzna książka pt. „Cieszę się życiem. Dziennik osoby fizycznie niepełnosprawnej”, którą słowem wstępnym opatrzyła Anna Dymna. Pani Agnieszka opisuje w niej takie błahe sprawy, jak np. historię z bonami na wymarzonego fiata 126p, czy problemy z kupnem komunijnych buczków. Czytelnik może przekonać się, że świat widziany oczami osoby z dziecięcym porażeniem mózgowym jest identyczny ze światem widzianym przez osobę zupełnie zdrową.

Artykuły autorstwa Pani Agnieszki często zamieszczane są również w Dialogu Akademickim, czasopiśmie wydawanym przez Akademię Pomorską w Słupsku. Pani Agnieszka swoim całym życiem dowodzi, że choroba nie jest przeszkodą w realizacji marzeń i celów. Wystarczy tylko chcieć czegoś bardzo pragnąć...

Kamil Patynowski, Słupsk



Nowy most

W Charnowie oddano do użytku nowy most na rzece Słupi. Stary, ponemiecki obiekt był w fatalnym stanie technicznym i stanowił zagrożenie dla podróżujących.

Samorządy - powiatu i gminy, przy wsparciu z rezerwy ministra infrastruktury, doprowadziły do przebudowy, a praktycznie do wybudowania w tym miejscu nowego mostu. Ma on długość 35 metrów, podniesiony poziom o 1,8 m a nośność dziesięciokrotnie większą od poprzedniego - 40 ton! Siedmiometrowej szerokości jezdnia, wzbogacona o chodnik, spełnia obecne wymogi. Budowa mostu trwała krótko, bo od października 2008 do końca stycznia br. Jest to niebagatelna zasługa Spółki MOST, która wygrała przetarg na wykonawstwo robót. Wartość

prac zamknęła się kwotą czterech milionów złotych.

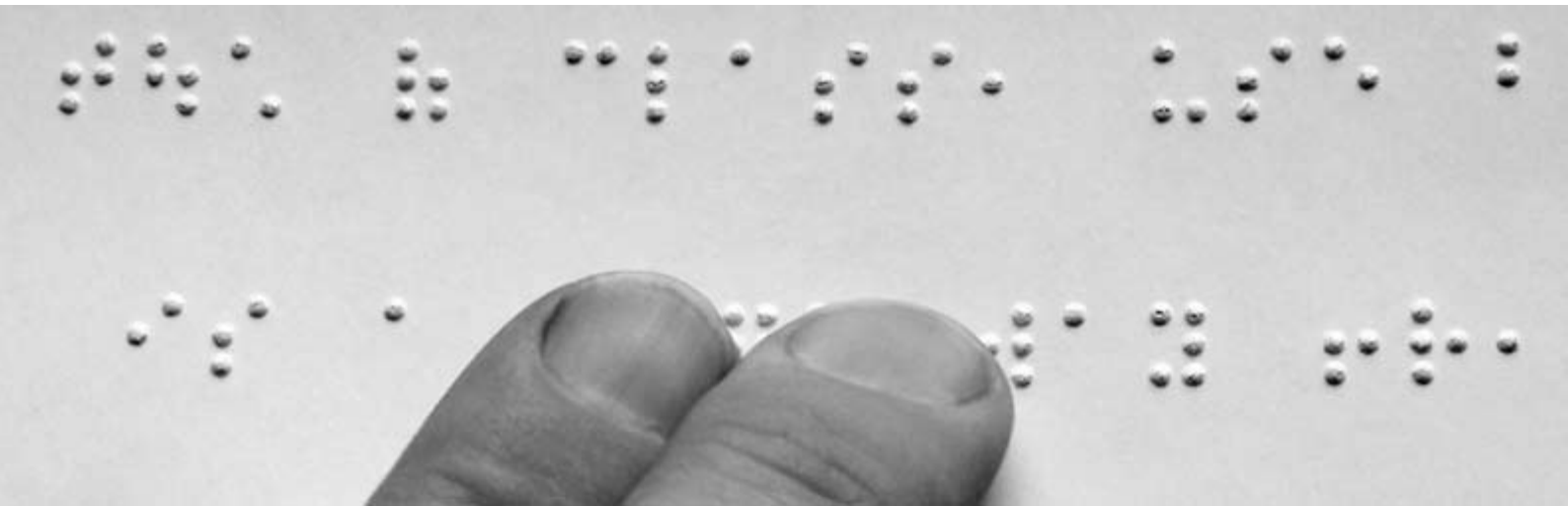
Obiekt znajduje się w ciągu drogi powiatowej 1110G Charnowo - Gałęzinowo i stanowi część inwestycji, której całość obejmie dwa odcinki dróg powiatowych: Charnowo - Gałęzinowo oraz Gałęzinowo - Wielichowo na długości 6,7 km. Dzięki środkom unijnym zostanie poszerzona nawierzchnia dróg do szerokości 5,0 - 5,5 m, powstaną też chodniki i zatoki autobusowe. Całkowita wartość zadania to ok. 9 mln złotych.

12 lutego na moście spotkał się Zarząd Powiatu Słupskiego z władzami gminy Ustka. Obecni byli również: sołtys Charnowa - Jadwiga Smalcerz, Mariusz Ożarek - dyrektor Zarządu Dróg Powiatowych i szefowie Spółki MOSTY. Dokonano symbolicznego otwarcia mostu. (K)

Fot. J. Maziejuk

Fot. Archiwum

Sześć punktów dla niewi



Jako najmłodszy z czwórki rodzeństwa, syn rymarza, kiedy miał trzy lata zranił sobie oko sztyłem. Pomimo najlepszej jak na ówczesne czasy opieki, oka nie udało się uratować, a infekcja zniszczyła również drugie oko. Mały Ludwik stał się niewidomy.

Każdy człowiek zdobywa wiedzę w ciągu swojego całego życia, a czerpie ją poprzez doświadczenie, rozmowę z innymi ludźmi i w największej mierze dzięki książkom. Niestety osoby niewidome i słabowidzące w dziejach ludzkości nie mogły korzystać z tego dobrodziejstwa. Dlatego też od dawna próbowano wymyślić pismo, które ułatwiłoby naukę tym osobom.

Pierwszej próby w wypełnieniu tej luki podjął się Erazm z Rotterdamu, poprzez grawerowanie liter na różnych przedmiotach. Zaczęto też wykonywać litery z cyny, ołowiu i drutu, które były zbyt duże, a ich czytanie bardzo wolne. Po raz pierwszy kombinację punktów i linii wykuwanych na papierze opracował jezuita Lan Terzi w XVII wieku. W wyniku udoskonalania tej metody powstało pismo perełkowe, polegające na wyciskaniu kształtu liter, łączące okrągłe punkty uwypuklone szerzej i wyżej. Poprzez nakłuwanie szpilkami papieru i dalsze udoskonalanie znaków w 1809 roku powstał system Wilhelma Kleina. Pismem dotykowym zajmował się również kapitan artylerii wojsk francuskich Charles Barbier tworząc szyfr składający się z dwunastu punktów, zwany nocnym pismem, który wykorzystywali żołnierze. To właśnie na jego podstawie w 1825 roku Ludwik Louis Braille opracował pismo na bazie sześciu punktów. W 1847 roku William Moon zaprezentował swoje pismo, które według niewidomych jest mało czytelne, a osoby widzące muszą dobrze poznać jego podstawy, żeby je przeczytać. Stowarzyszenie imieniem Moona rozpowszechnia ten rodzaj pisma do dnia dzisiejszego.

Jednak w chwili obecnej najbardziej popularne wśród osób z dysfunkcją wzroku jest pismo Braille'a. Jego wynalazca urodził się 4 stycznia 1809 roku, w małej, francuskiej wiosce Coupvray jako najmłodszy z czwórki rodzeństwa, syn rymarza. Kie-

dy miał trzy lata zranił sobie oko sztyłem. Pomimo najlepszej jak na ówczesne czasy opieki, oka nie udało się uratować, a infekcja zniszczyła również drugie oko. Mały Ludwik stał się niewidomy. Pierwsze litery zaczął poznawać dzięki pismu opracowanemu przez jego ojca, a były to duże gwoździe z zaokrąglonymi łebkami wbite w deskę. W wieku ośmiu lat zaczął uczęszczać do miejscowej szkoły, jednak po dwóch latach dzięki kierownikowi tej szkoły i opatowi prowadzącemu zajęcia został wysłany do Królewskiego Instytutu dla Niewidomych w Paryżu. Był bardzo dobrym uczniem, wyróżniającym się inteligencją i zapalem do nauki. Zrodzoną w jego dziecięcym umyśle ideę stworzenia pisma dla niewidomych zaczął realizować od czasu, kiedy do instytutu przyjechał Barbier De Lan Oerre i zaprezentował swoje nocne pismo. Od tego czasu każdą wolną chwilę poza lekcjami i innymi obowiązkami szkolnymi poświęcał na kombinację swoich znaków. Efektem tej pracy było przedstawienie genialnego alfabetu w 1824 roku, który był udoskonalany do roku 1837. Już w 1827 wydano w Braille pierwszy podręcznik pod tytułem „Gramatyka gramatyk”, a w 1829 „Metody pisanania za pomocą punktów, wyrazów oraz nut do muzyki i śpiewu ułożono do użytku niewidomych”. W 1826 roku Braille został nauczycielem w Królewskim Instytucie dla Niewidomych. Był też pierwszym w historii niewidomym organistą w kościele Sant Nicolas de Chops w Paryżu. Pomimo bardzo dobrej opinii na temat użyteczności pisma Braille'a, wydanej przez niewidomych uczniów i nauczycieli, to ministerstwo nie wyraziło zgody na jego wprowadzenie w szkołach. Ten wybitny człowiek walczył nie tylko o rozpowszechnienie swojego pisma, ale również ze śmiertelną wówczas chorobą – gruźlicą. Ludwik Louis Braille zmarł jako zupełnie nieznaną osobą 6 stycznia

idomych

1852 roku. Dopiero w 1887 na paryskim kongresie w sprawie osób niewidomych i głuchoniemych poparto systemem Braille'a, a dwa lata później na kongresie w Berlinie podjęto uchwałę o jego stosowaniu. W tym samym roku, tj. 1887, w centrum Couprey postawiono pomnik, na którego szczycie umieszczono popiersie Braille'a, a poniżej płaskorzeźbę z brązu, która przedstawia Ludwika Braille'a prowadzącego palce małego chłopca po stronie napisanej pismem punktowym. Zachował się także jego rodzinny dom, zamieniony w muzeum, który jest pod opieką Światowej Rady Pomocy Niewidomym.

Sto lat po śmierci w 1952 roku ekshumowano jego zwłoki do Panteonu, przy czym jego dłonie pozostawiono na cmentarzu w rodzinnym Couprey.

Pierwszą adaptację pisma Braille'a do języka polskiego zrobił Alfred Schonfeld. To opracowanie wykorzystał Zakład Ciemnych we Lwowie. Pełnej adaptacji dokonała siostra Elżbieta Róża Czacka i Teresa Landy, którą oficjalnie przyjęto dekretem Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego dnia 25 maja 1934 roku. Zaczęto drukować książki, ponieważ pismem Braille'a można zapisać dosłownie wszystko. Powstała w 1952 roku Biblioteka Centralna w Warszawie zgromadziła najwięcej pozycji książkowych opracowanych tym systemem. Wydawane są również czasopisma, jak np. Pochodnia. Zaznaczyć trzeba, że do tej pory nie opracowano lepszego pisma dla osób z dysfunkcją wzroku. Można śmiało powiedzieć, że pismo Braille'a jest ponadczasowe. Czytelne punkty pomagają osobom niewidomym poruszać się w czasie za pomocą tak zwanego zegarka brajlowskiego. Nawet w dobie ery komputerów pismo Braille'a znajduje zastosowanie. Wszechobecna technika jest bezużyteczna dla osób niewidomych i słabowidzących. Żeby użytkować komputery, monitory, drukarki czy różnego rodzaju notatniki trzeba było zastosować sześciopunkt.

Ludzie z problemem widzenia podczas długotrwałego leczenia zażywają leki. O takie właśnie osoby zadbało Ministerstwo Zdrowia, które od 1 listopada 2008 roku wprowadziło przepis dotyczący oznakowania produktu leczniczego i treści ulotki. Alfabet Braille'a pozwala wszystkim osobom niewidomym i słabowidzącym na całym świecie zdobywać wiedzę, rozwijać pasje i realnie uczestniczyć w życiu rodzinnym, społecznym i zawodowym.

Dlatego Europejska Unia Niewidomych w dwusetną rocznicę urodzin ogłosiła rok 2009 rokiem Braille'a.

Teresa A. Ławecka, Słupsk

Starosta przywiózł prezenty i dobre słowo dzieciom ze Społecznej Szkoły Podstawowej, Społecznego Gimnazjum i Niepublicznego Przedszkola w Niepogledziu.



Fot. P. Kozłowski

Na Nowy Rok

Oprócz serdecznych, ciepłych życzeń dla całej społeczności szkolnej przekazał też słowa podziękowania za trud wychowawczy i opiekę duchową ojcu Ryszardowi Iwanowskiemu. Jest on dyrektorem placówek, prowadzonych przez Stowarzyszenie SPERANDA, które powstało z inicjatywy mieszkańców wsi Niepogledzie i Gałęzowo w 1999 roku w proteście przeciwko próbie likwidacji tamtejszej Szkoły Podstawowej - jedynej centrum życia oświatowo - kulturalnego Niepogledzia i okolic.

Spiritus movens całego przedsięwzięcia był franciszkanin R. Iwanowski, który z właściwą tym zakonnikom pokorą i benedyktyńską cierpliwością doprowadził do tego, że w XIX-wiecznym pałacu mieszczą się prężnie działające placówki oświatowe, liczące ok. 250 dzieci i młodzieży. Towarzy-

stwo prowadzi tam również Lokalne Centrum Kultury, Europejskie Centrum Ekologiczne, świetlicę wiejską oraz teren rekreacyjno - sportowy w Gałęzinowie.

W roku 2004 Stowarzyszenie SPERANDA za całokształt działalności otrzymało wyróżnienie „Bursztynowego Mieczyka”, przyznawane przez Wojewodę i Marszałka Województwa Pomorskiego. W tym samym roku prezes stowarzyszenia o. Ryszard Iwanowski otrzymał prestiżową nagrodę „Kryształowej Koniczyny”, przyznawanej przez Fundację 4 H w Polsce. Uhonorowano w ten sposób pracę stowarzyszenia w sferze edukacji na terenach wiejskich.

W 2008 roku Starostwo Powiatowe wyremontowało drogę dojazdową do siedziby szkół w Niepogledziu. (K)

Jest swoistym ewenementem twórczym w Słupsku, ba! daleko poza opłotkami grodu nad Słupią. Od dwóch (AD 2009 – trzech) dziesięcioleci zadziwia bowiem mieszkańców miasta i regionu niezwykłą operatywnością i sprawnością warsztatową.

Malarz - ogniomistrz

W okresie minionych 25-30 lat pisałem o nim, recenzując jego twórczość plastyczną, wielokrotnie – przynajmniej kilkanaście razy. Między innymi na łamach Głosu Pomorza, Gryfa, Gońca Pomorskiego, Tygodnika Słupskiego, Bałtyckiego Magazynu FOTO. Nie będę dziś odwoływał się do fragmentów żadnej z tamtych publikacji. Bo i po co? Toż to – że sparafrazuję recenzenta najnowszych (styczeń 2009) przesłań poetyckich Wisławy Szymborskiej z tomu pn. Tutaj – ten sam artysta, którego poznałem bardzo, bardzo dawno. Ten sam, to źle, ponieważ twórca winien się zmieniać; ten sam – jak dobrze, wraz z innymi pasjonatami sztuki przywiązałem się wszak we wspomnianym ćwierćwieczu do niego i wizji świata, jaką ów maestro darzy...

Zacznę – mimo wszystko – trzydzielnym, trochę uaktualnionym cytatem z Tygodnika z roku 1997: *Jest swoistym ewenementem twórczym w Słupsku, ba! daleko poza opłotkami grodu nad Słupią. Od dwóch (AD 2009 – trzech) dziesięcioleci zadziwia bowiem mieszkańców miasta i regionu niezwykłą operatywnością i sprawnością warsztatową. Wątpię ponadto, aby znalazł się na Ziemi Słupskiej, mało: na Pomorzu Środkowym, drugi nieprofesjonalny sztalugowiec z 864 (też 2 197!) obrazami olejnymi oraz 35 (dzisiaj – vide zapis w tytule – 55) b. ciepło z reguły przyjętych pokazów indywidualnych i zbiorowych w kraju i za granicą (Niemcy, Szwecja, Dania, Belgia, Holandia, Luksemburg, USA, Kanada i – tak, tak – Nowa Zelandia).*

Krótkie curriculum vitae mistrza (z gąśnicą i bez; właściwie tylko bez). Rodowity gdańszczanin ze starokaszubskimi, jak pamięcią sięgnąć, korzeniami. Sześć lat po maturze pracował w mieście nad Motławą jako stoczniowiec z dyplomem mechanika i konstruktora okrętów. W 1975, gdy władze PRL zmieniły mapę administracyjną kraju, przeniósł się do Słupska, wiążąc się zawodowo (funkcjonariusz-ogniomistrz, stricte... pracownik ds. małej poligrafii) z Komendą Wojewódzką i Rejonową Państwowej Straży Pożarnej oraz Zarządem Wojewódzkim Związku Ochotniczych Straży Pożarnych. Aż polikwidowano takie województwa jak nasze...



Został „z marszu” – na podstawie wcześniejszych, w zgodnej opinii fachowców bardzo udanych prób rzeźbiarskich i graficzno-malarskich – członkiem (nb. w coraz większym stopniu nominalnym przez wyjątkową rzutkość i biegłość, w reasumpcji: dojrzałość techniczną) 200-osobowego Klubu Plastyka Amatora WDK.

- *Ponadprzeciętny talent, jeden z prawdziwych twórców Klubu Plastyka Amatora, ani chybi profesjonalista!* – mawiał już w latach osiemdziesiątych założyciel i opiekun Klubu do śmierci (2000), Stefan Morawski.

Strażak z takim zacięciem i „półprofesjonalizmem” (według mnie w chwili obecnej ów „quasiprofesjonalizm” można, bez przesady, między przysłowiowe bajki włożyć)? Nie on pierwszy wziął rozbrat ze swoim fachem. Garść nazwisk ze świata sztuki przez duże S: Tadeusz Boy-Żeleński, Stanisław Lem (lekarze), Wiesław Ochman (inżynier... górnictwa i hutnictwa), Henryk Czyż (prawnik), Marek Grechuta (architekt), Robert Janowski (weterynarz). Trzeba więcej „dosadniejszych” przykładów?

Pora jąć się istoty sprawy – tematyki i rodzajów prac plastycznych bohatera nineszszego szkicu. – *Zanotuj – mówi – jak chcesz: Hołubię zwłaszcza przetworzone (z reguły bodaj trochę odrealnione) rodzime krajobrazy, pejzaże oraz bukiety-kombinacje, martwe natury, słowem: bliską mi od dziecięcych lat przyrodę. Przyroda... Tutejsze jeziora i lasy, urzekające i tajemnicze jak bezkres wokółpałacowych ogrodów legendarnej królowej Asyrii – Semiramidy. Ale także wychwycone przez ciągłe spoglądanie na świat z boku, z ukosa, wirtualnym trzecim wzrokiem: niedomknięta brama, ukryta w zieleni furka, prowadząca Bóg wie dokąd droga, ścieżyna, trakt. W czym rzecz? Ja – w odróżnieniu np. od impresjonistów – nie pasjonuję się uchwyceniem chwili, a zaciekawieniem odbiorcy, wciągnięciem go w głąb sztuki. Ot co!*

- Równą przyjemność – dodaje odwiedzony malarz – czuję w trakcie kreowania wspomnianych martwych natur, ha! również... aktów lub półaktów. Taka dewiza:

wychodzić naprzeciw odbiorcom swych kompozycji wszelkimi sposobami, stale i wszędzie – przyświecała, wydaje się, moim idolom: Salvadorowi Dali i Iwanowi Szyszkiniowi.

Gdzie Rzym, gdzie Krym? – chciałoby się zapytać. Szyszkini: dziewiętnastowieczny petersburski autor realistycznych pejzaży, odznaczających się drobiazgowym oddawaniem szczegółów („Dale leśne”, „Dęby”, „Żyto”, „Poranek w sosnowym lesie”). I Dali: surrealista, który b. oryginalną metodą twórczą – „paranoiczno-krytyczną” – wprowadza nas w atmosferę niezwykłości i fantastyki, a wirtuozerską wprost techniką przywołuje sztukę graniczącą z... iluzjonizmem („Kanibalizm jesieni”, „Przeczcucie wojny domowej”).

Każde z oglądanych (ostatnio w kawiarni Wena przy ul. C.K. Norwida) płócien pachniało mi świeżą farbą, nosiło znamiona coraz to innej konwencji techniczno-programowej. Sporo wśród nich transpozycji naturyzmu, weryzmu. Łatwo też jednak można doszukać się w pomienionym zestawie kubistycznych bądź kubizujących realizacji, postkubistycznych kolaży, ucieczek w świat nadrealizmu, abstrakcjonizmu, nie dość: zamysłów tworzenia całkiem nowej faktury malarsko-rzeźbiarskiej i... zwykłych, czasem wręcz szkolarskich (sic) zapisów otaczającej malarza – eksfunkcjonariusza

straży pożarnej rzeczywistości.

- *Taki już, nie odkrywam przed Tobą Ameryki* – powiada „na usprawiedliwienie” – *jestem od zawsze. Bez przerwy poszukuję swoich osobistych, niesztabowych, „dobiegających głębi” środków wyrazu. Bywa, że cel jawi się na odległość wyciągniętej ręki tuż – tuż. Chwilę później pryska niczym bańka mydlana. I rozpoczynam na nowo poszukiwania formuły artystycznego zapisu. Może w tym właśnie tkwi sedno całej przygody ze sztuką?*

Odpowiadam we własnym imieniu: zapewne tak!

Post scriptum. Gerard Treder (jemu – na co tytuł publikacji wskazuje – poświęcony jest niniejszy szkic dziennikarski) tworzy swe obrazy w pracowni na ul. Ziemiowita, sąsiadującej z przepięknym ogrodem, miniparkiem i... piwniczną winiarnią. Pierwsi recenzenci: żona Teresa, jej matka oraz ulubieniec artysty, wnuk Karol. Jesienią i zimą – z każdym rokiem więcej wystaw; nie tylko w Słupsku, we wszystkich miastach województwa. Późną wiosną i latem – tradycyjne już marszandowe wypadki do Ustki („Tworzyć sobie a muzom? Jeszcze jedno: plastykowi manna nie spada przecież z nieba”).

Zanotował: Jerzy R. Lissowski, Słupsk

Naleśniki z oranżadą

W tytule nie ma pomyłki. Wspomnienie dotyczy bowiem moich doświadczeń życiowych z radiem i telewizją z pierwszych lat jej istnienia.

Jako student wzięłem udział w pierwszym lub drugim w dziejach polskiej telewizji teleturnieju. Prowadził go pan Serafinowicz, ja zajmłem drugie miejsce przegrywając z inżynierem. Otrzymałem po tym kilka listów miłosnych, kilka razy rozpoznano mnie w tramwaju. Największy ekran telewizora marki Wisła miał ekran wielkości pudełka do butów, co miało znaczenie w mojej karierze.

Jeden z organizatorów telewizji gorąco namawiał mnie, abym pracę u niego podjął. W stołówce pracowniczej nr 73 (tak się wtedy nazywały bufety w zakładach pracy) jedliśmy naleśniki popijając oranżadą (tak się wtedy ten napój nazywał). W dyskusji nad moją karierą padło pytanie pod adresem Organizatora, dlaczego on mnie tak namawia. Bo on się zmieści na ekranie - odpowiedział. Naleśnik tylko dlatego nie wylądował na jego obliczu, że szkoda było nadziei. Był to bowiem dzień bezmięsy - poniedziałek - i w naleśniku był tatar z jajkiem. W butelce zaś nie była oranżada, bo do godziny trzynastej nie można było kupić, co w rzeczywistości popijaliśmy. Cóż dopiero w stołówce pracowniczej numer 73!

Wiele lat później opisywałem zjawisko z tamtych czasów zwane książką skarg i zażaleń. Klient bufetu wpisał skargę, że nie znalazł postnego dania. Kierownik dopisał: żryj, co dają!

Wspomnienie to przyszło mi na myśl, gdy w moich ulubionych wiadomościach zobaczyłem autentyczne kelnerki z gospody ludowej geesu. Nawet kartę dań trzymają w ręku. Nie było ich bowiem na stolikach, tylko kelnerka podawała na żądanie - taki to był biały kruk.

Ale zjeść można było! Właśnie tatar z jajkiem (w dni bezmięsne jako naleśnik) śledź po japońsku, kanapka z żółtym serem - to były czasy... W gospodzie ludowej w miejscowości nad jeziorem świeża sielawa, palce lizać! W jednej gospodzie ludowej były najlepsze pierogi ruskie. Żart z tamtych czasów: są ruskie? Już wyszli...

Z gazurką wróć?

Zdzisław Stankiewicz, Słupsk



Broniek Pyszyński



Fot. J. Maziejuk

Jest średniego wzrostu, trochę przytłuszczone, ma kapelusz na głowie i chodzi z laseczką. Ma charakterystyczne oczy, które trochę ze smutkiem, a trochę z przekorą patrzą na świat. Poszukuje w aptekach recepty „na młodość”, ale niestety nigdzie nie może jej dostać.

Urodził się w roku 1925 w Katowicach na Wileńszczyźnie. Ciężkie twarde życie wiejskiego dziecka go nie rozpieszczało. Wcześniej został zaprzęgnięty w kierat pracy. W wieku ośmiu lat pasał krowy cudze i swoje. Pomagał we wszystkim co było do zrobienia w gospodarstwie rodziców. Najmował się do każdej pracy jaka się nadarzała, żeby tylko pomóc rodzicom, którym ciężko było wyżyć z dwu i półhektarowej gospodarki – z dwójką jeszcze innych dzieci. Pilnując krów na pastwisku, słuchał odgłosów leśnych, wsłuchiwał się w śpiew ptaków polnych. Coś zaczęło mu w duszy grać. Któregoś razu nie namyślając się długo, wystrugał sobie z wierzbiny fujarkę, na której najpierw ćwiczył, a potem wygrywał różne melodie. Tęsknił za prawdziwym instrumentem – za skrzypcami, akordeonem. Instrumenty takie możliwe były tylko w sferze jego marzeń.

W wieku dwunastu lat nabył organki. Poczut się muzykantom. Kiedy skończył trzy oddziały szkoły powszechnej, wojna przerwała dalszą jego naukę. W roku 1941 dostał nakaz wyjazdu na przymusowe roboty do Niemiec. Uciekł jednak z transportu. Błąkał się po świecie. Z Armią Czerwoną przewędrował prawie cały szlak bojowy. Ranny został ciężko w nogę i do dziś odczuwa skutki okaleczenia. Kuleje, rana się otwiera, nie może obejść się bez środków przeciwbólowych. Podczas swojej długiej tułaczki, w Budapeszcie na Węgrzech znalazł gdzieś w piwnicy, polski obrazek przedstawiający wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Schował go z wielką czcią do kieszeni na sercu. I tak – mówi dziś - Matka Najświętsza, Polska Matka przeprowadziła go przez różne niebezpieczeństwa do kraju. Ale w rodzinnym domu czekała go smutna wiadomość. Jego brat zginął - nie z rąk Niemców, a z rąk sojuszników.

Po wojnie poznał miłość swego życia o imieniu Maria. W roku 1950 wziął z nią ślub. Dochował się trójki dzieci. Pracował w ówczesnym PGR w Bobrownikach, w brygadzie remontowej - jako malarz. Po latach odkrył w sobie wielką pasję fotografowania. Zaraził go do niej nie kto inny, jak Jan Maziejuk - ówczesny prezes Słupskiego Towarzystwa Fotograficznego. Żartem wspomina swój pierwszy wygrany konkurs fotograficzny. Kolega założył się z nim o litr wódki, że nie zrobi mu zdjęcia przy zajęciu czysto fizjologicznym, jakim jest oddawanie moczu. „Uchwycił” doskonale ten moment i wygrał zakład.

Pierwszym aparatem, jakim się posługiwał, była „Smiena”. Dzisiaj ma „Canona”. Przechowuje masę zdjęć. Zrobił ich tysiące.

Był wziętym fotografem na weselach, uroczystościach kościelnych, państwowych, na pogrzebach. Najwięcej robił fotografii do wszelkiego rodzaju legitymacji. Posługiwał się też kamerą.

A co z muzyką? Po śmierci żony, w roku 1995 związał się z zespołem „Damniczanki”. Do dziś „pilnuje” w nim rytmu granych utworów. I chociaż jest mu trochę ciężko dojeżdżać, to jednak nie wyobraża sobie życia bez muzyki. Ciągnie go też do ludzi.

W wolnych chwilach chwytą za aparat fotograficzny lub kamerę i nadal zawsze ma co utrwalić w kadrze. W jego życiu nie ma miejsca na nudę. Kiedyś malował obrazy. Myśli jeszcze sięgnąć po farby i pędzel... Mieszka w dawnym mieszkaniu popegeerowskim, otoczony starymi obrazami, fotografiami, figurkami aniołów. Gościnnie, przyjazny ludziom, lubiany przez sąsiadów. W dowód wdzięczności Bogu postawił kapliczkę naprzeciw domu. Sam własnoręcznie ją odnowił i maluje.

Jako były, zasłużony żołnierz, jest odznaczony wieloma medalami. Najbardziej ceni sobie Krzyż Kawalerski Odrodzenia Polski. Wiele medali odbierał z rąk ambasadorów radzieckich, między innymi ten „Za Berlin” i „Krzyż za Wojnę Ojczyźnianą”. Nawet współcześni Rosjanie, gdy widza go z takim medalem, nisko się mu kłaniają. Medali dostał naprawdę wiele. Mimo podeszłego wieku, tragedii rodzinnych ciągle tryska humorem, sypie dowcipami. Tęskni za swoją młodością. Poszukuje w aptekach recepty „na młodość” - ale niestety nigdzie nie może jej dostać.

Henryka Jurałowicz – Kurzydło, Słupsk



Fot. B. Pyszyński

Jest w albumie Jana Maziejuka fotka wojewody Jana Ryszarda Kurylczyka jak szepce coś do ucha księdzu Janowi Gariatowiczowi. Żart znakomity. Anegdota świetna. Ale ta fotka, dla mnie pełna uroku, choć zrobiona w konkretnej sytuacji jest nieprawdziwa. Prawdziwa była fotografia nadętych, wbitych w garnitury lokalnych dygnitarzy przy stole przydialnym. Taka znalazła się w gazecie.

Maziejuka prawda o świecie

Każde dzieło sztuki fałszuje rzeczywistość. Najpiękniejszy obraz pokazuje inną rzeczywistość niż zawarta w nim treść. Nie ma takiego obrazu ani takiego twórcy, który byłby zdolny oddać doznanie turysty odpoczywającego na przydrożnym kamieniu w cieniu rozłożystej kwitnącej lipy podczas skwarne południa.

Wiem, co piszę. To było kilka lat temu. Wędrowaliśmy po morenowych wzgórzach powiatu słupskiego z Głosem Pomorza. Był z mną Maratończyk ze Słupska, a z rowerem ciągał się po bezdrożach Maturzysta z Miastka. Był i Maziejuk. Zgubiliśmy w lesie, nie my jedni, drogę. Maratończyk zaproponował, że pobiega w koło i drogę odnajdzie. Po pół godzinie Maturzysta pojechał szukać Maratończyka. Wziąłem na plecy torbę Maratończyka i poszedłem na metę. Upał był, wiatr wiał, więc i susza dokuczała, z jeziora wodę piłem. Kiedy na mecie usiadłem na kamieniu, przybiegł Maratończyk. - Wiesz, co ja przeżyłem? Upał jak diabli, wiatr, niesamowita susza i pot, pić się chce, z jeziora wodę piłem. A jak sobie pomyślałem, że ty w torbie masz piwo... A co ja sobie pomyślałem? Jakim obiektywem mógłby tę sytuację utrwalic Jan Maziejuk? Owszem, na jego fotografiach jestem tam, ale żadna z nich nie odda tej prawdy, jaką znam i jaką teraz opisuję.

Jest w albumie Jana Maziejuka fotka wojewody Jana Ryszarda Kurylczyka jak szepce coś do ucha księdzu Janowi Gariatowiczowi. Żart znakomity. Anegdota świetna. A to Jan Maziejuk sfotografował obu panów, kiedy przy stole przydialnym rozmawiali podczas przemówienia - pewnie nudnego. Też wiem, co piszę. Ileż to razy siedziałem przy stole nakrytym wypłowiałym sukniem zielonym albo czerwonym na takich nudnych oficjalnych imprezach. Ta fotka, dla mnie pełna uroku, choć zrobiona w konkretnej sytuacji jest nieprawdziwa. Prawdziwa była fotografia nadętych, wbitych w garnitury lokalnych dygnitarzy przy stole przydialnym. Taka znalazła się w gazecie.

Bo artysta nie spostrzega świata „mędrca szkiełkiem i okiem” nawet gdy to



szkiełko - zdawałoby się - jest stworzone do pokazania obrazu „jakim jest”. Po raz nie wiem który, Jan Maziejuk udowadnia, że oko może dostrzec nie to, co jest, a to co dostrzec chce jego właściciel. A Maziejuk, reporter prasowy, przekracza ramy zawodowca, wchodząc w rolę artysty. Dlatego mówi, sam to słyszałem, że współczesny aparat fotograficzny „cyfrówka” komputerowa, nie ma duszy. Mówi to przecież przekornie. Bo to rasowy zawodowiec. Cyfrówki używa dla jakości. Co z tym robi dalej? Tworzy. Też wiem, co piszę. Pierwszy aparat fotograficzny dostałem w prezencie od słynnego wileńskiego fotografa, Jana Bułhaka. Jedna z moich fotografii była na wystawie międzynarodowej prawie pięćdziesiąt lat temu. Maziejuka też sfotografowałem, też cyfrówką, ale gdzie mnie do Niego!

Album Maziejuka, jaki mam na półce jest albumem o mnie, mojej Matce, mojej córce w przedszkolu, moich przyjaciółkach. To ona mogła na żłobkowym nocniku czekać co przyniesie los, to ja wsłuchiwałem się w dźwięk dzwonka, aby przez okno wyrzucić noże i nożyce do ostrzenia, to ja stałem w kolejce po lakier do włosów marki Loton dla żony, to ja na rogu ulicy kupowałem szklankę wody z sokiem za 70 groszy, tzw. gruzliczankę z saturatora. Przyjrzyjcie

się tym fotografiom, może tam stoję? Na pewno jednak stoi tam ktoś kogo mogłem znać. Jak znałem p. Czaplińskiego i jego żonę, gdy cygańskim wozem towarzyszyłem im w objazdach „Tęczy”, jak znałem i znam wielu innych bohaterów maziejukowych fotografii. To jest album o nas, mieszkańcach Słupska i okolicy, Polakach. Ale ja wtedy pracowałem w tzw. Organach, więc pamiętam, że tych sprzedawców wody trzeba było gdzieś przyporządkować. Wpisano ich do cechu metalowców, bo te wózki i ich wyposażenie były metalowe.

A oto inna anegdota, związana z dziełem Maziejuka. Nie ma tej fotografii w albumie, ale była na wystawie w Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. Kolejka przed sklepem o nazwie 1001 Drobiazgów. Może właśnie po Lotony, jak popularnie nazywano lakiery do włosów? Sprzedawała starsza pani już bliska emerytury. Nie daj Boże, zobaczyła gdy ktoś stawał w kolejce drugi raz! Moja żona nazwała ją żółza. Wbiega kiedyś dziecko sąsiadów z okrzykiem „u pani Żółzy są szklanki!”

Maziejuk, i jego koledzy reporterzy nie wzbudzał jednak zachwyty kolejkowiczów. Być może dlatego, że dawał dowód na ich stanie w kolejce, kiedy należy „być w pracy”. Ale właśnie w kolejce stojąc słyszałem takie głosy: „znowu nas będą palcem pokazywać za granicą” Tych było najwięcej.

Sam Jan Maziejuk nie wskazuje na ambicje pokazywania prawdy obiektywnej. Nie ma, zresztą, takich ambicji, nie mówi, że jego fotografia jest prawdą o wydarzeniu, dokumentem epoki. Mówi wprost, że to co pokazuje fotografią jest jego osobistym spojrzeniem na wydarzenie. Jak sięgam pamięcią, wspominam, że ten rzetelny, solidny gazetowy reporter, wykonując polecenie, zawsze stwierdzał, iż podpisem „fot. Jan Maziejuk” pokazywał jak to widział. Właśnie.

Zdzisław Stankiewicz, Słupsk

Jan Maziejuk, „Tak to widziałem”, Unigraf, Bydgoszcz 2008, na zlecenie Starostwa Powiatowego w Słupsku

oko może dostrzec nie to, co jest, a to co dostrzec chce jego właściciel

Jerzy próbował w płynąć na jezioro kilka dni wcześniej, jednak rozkołysane wiatrem cofało łódź, a on z Krzysztofem próżno prężyli mięśnie przy wiosłach. Jezioro jak panna - ma swoje humory, w przeszłości i teraz uczy śmiazków respektu, dobrze to wiedzą okoliczni mieszkańcy.

Wokół Gardna



Jerzy ma święto. Siedzi na ławce w długiej płaskodennej łodzi pożyczonej od rybaka z Gardny Wielkiej niemal na środku jeziora i moczy kij. Wybrał się na Gardno z letnikiem z Wrocławia, to jego alibi na popołudniową wyprawę z wędką. Kiedy nastąpiła moda na agroturystykę, wczasowiczom odpoczywającym w gospodarstwie trzeba zapewnić atrakcje. Domownicy wiedzą, że to tylko dobry pretekst, ale niech się cieszy. To nic, że nie będzie taakiej ryby! Przywiozą płotki, okonie, może leszcza, a może małego węgorza?

Zawodowi rybacy, których w Gardnie zostało zaledwie kilku, łowią niewodami rybę, także smaczne wysoko cenione węgorze. Trafiają one do wędzarni, później do smakoszy rarytasu. Coraz częściej jednak wędzi się ryby spoza Gardna. Dawno przebrzmiały wielkie zimowe niewody, dawno jezioro straciło znaczenie gospodarcze, jednak do dziś dostarcza innego surowca - trzcinę. Wykasza się jej niewiele, jedynie przy brzegu w okolicy Rowów, ale w Gardnie Wielkiej z powodzeniem prosperuje zakład zajmujący się jej wykorzystaniem. Przeważa surowiec spoza rejonu Słowińskiego Parku Narodowego. Trzcina umiejętnie koszona i obrobiona jest dobrym, przywróconym do łask, modnym poszyciem

dachów. Przybywa w okolicy trzcinowych strzech. Były oznaką ubóstwa, dziś są oznaką wyrafinowanego gustu. Częściej jednak trzcina z Gardny trafia do zamożniejszych, zagranicznych budowniczych.

Pogoda dziś ładna, tafla jeziora gładka i czysta jak szyby w oknach żony. Trzciny wyznaczają linię brzegu - około 23 km, a kępy sitowia wskazują płytsze miejsca. Maksymalna głębokość wody to niewiele ponad dwa metry. Przeważają płycizny. Gdzieś w pobliżu łodzi, na której siedzą, do Rowów płynie swym korytem Łupawa, ale dno jest niejednorodne, a przez to niebezpieczne. Są miejsca, gdzie nie można zakotwić łodzi, tak pod wodą jest twardo albo kotwicę wciąga mulista ponaddwumetrowa głębia. Jerzy próbował w płynąć na jezioro kilka dni wcześniej, jednak rozkołysane wiatrem cofało łódź, a on z Krzysztofem próżno prężyli mięśnie przy wiosłach. Jezioro jak panna - ma swoje humory, w przeszłości i teraz uczy śmiazków respektu, dobrze to wiedzą okoliczni mieszkańcy. Pamiętają tragedię sprzed sześćdziesięciu lat, kiedy na oczach wypoczywających na brzegu mieszkańców utonęły dwadzieścia cztery dziewczyny z Łodzi. Na łodziach było ich czterdzieści, nie wszystkim mimo wysiłków tych, którzy popłynęli w pław na ratunek, można było

pomóc. Płynęły na takich samych płaskodennych łodziach podczepionych do motorówki prowadzonej przez rdzennego rybaka - na przejażdżkę do Rowów. Na pewno nie było to rozsądne, dziś nikt by takiej wyprawy nie wymyślił. Czasy były powojenne, urazy świeże, oskarżeń i win nie wyjaśniono do dziś. Jako przestroga została przy kościele w Gardnie Wielkiej symboliczna mogiła, a imię jednej z dziewcząt, Joasi Skwarczyńskiej, nosi miejscowa szkoła.

Siedzą obaj w milczeniu, wsłuchują się w szept jeziora i ptasie swary. Na Gardnie i okalających je podmokłych łąkach gniazdują wszystkie gatunki kaczek, trzcinniczki, brzęczki i wiele innych rzadkich ptaków. Nie widać stąd Kamiennej Wyspy, gdzie, przepędziwszy mowy, zadomowiły się kormorany. Nie dochodzą tu odgłosy ich powarkowań i gdań, bo poza gniazdem ptak jest cichy. Czasem tylko widać przelatujące w szyku stado z wygiętymi ku górze szyjami.

Splawik drgnął raz i drugi i zniknął pod wodą. Obaj naprężyli mięśnie, gotowi do pojedynku z rybą. To wędką Krzysztofa. Podciął energicznie, uniósł wędzisko, na haczyku umocowanym na niedługiej żyłce zobaczyli sporego okonia. Piękna rybka, ale żeby ją sprawić, trzeba zręcznych rąk.

Szybko przynęta, ponowny rzut i znów - jest! Krzysiu ma szczęście!

Do jeziora z domu Jerzy ma trzy kilometry. Często chodzi tam na niedzielne spacery lub jedzie rowerem tzw. płytówką. Droga prowadzi przez Objejskie Łąki i została wyłożona betonowymi płytami jumbo w czasach, gdy w Objeździe PGR utrzymywał stado blisko dwóch tysięcy sztuk bydła. Zwożono tędy siano i trawę na kiszonki, wypędzano krowy na pastwiska. Teraz sieć rowów melioracyjnych zarosła, utrzymywane są tylko główne kanały, a na łąkach w koplach pasą się pojedyncze sztuki bydła lub chodzące samopas po zrytych przez dziki pastwiskach krowy z Retowa. Ubiegłego roku pojawiło się nowe stado rolnika z Dębiny. Piękne zwierzęta, każdy o innym umaszczeniu i długości sierści. Same byczki. Utrzymanie pewnej ilości bydła na łąkach jest wymogiem programów rolnośrodowiskowych. Rolnicy korzystający z dopłat Unii Europejskiej, muszą podjąć działania sprzyjające dobrej gospodarce. Wypasanie łąk po pierwszym pokosie jest starą, sprawdzoną metodą ich naturalnego utrzymania. Nawet bociany łatwiej wtedy mogą upolować mysz, żabę lub ślimaka. Natura obejmuje w posiadanie nadgardnieńskie łąki.

Obrazek z pasącym się bydłem jest prawdziwą atrakcją dla mieszkańców, teraz także dla miejscowych, którzy piją mleko z kartoników. Niewielu jest rolników we wsiach nad jeziorem Gardno. Ziemia położona w pasie nadmorskim i w pobliżu jeziora większy przynosi dochód, gdy przeznaczona jest pod zabudowę, stąd pensjonaty, domki letniskowe rosną z sezonu na sezon coraz radośniej. Niedawne pastwiska zmieniają się w działki budowlane. Takich, którzy wbrew rozsądkowi wchodzą pod połdery jeziora, jest wielu. Najpierw pojawia się przyczepa kempingowa, ogrodzenie, później domek. Dwa lata temu obserwowaliśmy, jak jezioro przelało się przez wał, a woda podeszła pod domki letniskowe na łąkach na wysokości Dębiny. Nie pomogły wrosłe w krajobraz, nieodległe od siebie budyneczki pomp, które regulują poziom wody w jeziorze. Kanały przy pompach zamarzają rzadko, dlatego chętnie zimują na nich ptaki. Szczególnie pięknie wyglądają łabędzie z wystającymi kuprami, żerujące na roślinach pod wodą.

Płytkówka z Objazdy do jeziora Gardno jest dla Jerzego granicą dwóch kultur: kultury jeziora i kultury nadmorskiego letniska. Może skrócić w lewo, na zachód, do Rowów, by odwiedzić starego druha Michała albo w prawo, na wschód - do Retowa i dalej do Gardny. Tu też spotkać można letników, są gospodarstwa agroturystyczne, ale nie odbywa się to tak agresywnie, tu czas płynie innym rytmem, inaczej ludzie pracują, inaczej wypoczywają. Ta granica wynika nie tylko z obecnego podziału administracyjnego. Gdzieś tu graniczą gmina uestcka i smołdzińska, które w po-

rozumieniu z Słowińskim Parkiem Narodowym podjęły się wreszcie odbudowy zniszczonych kładek na Bagienicy, Grabownicy i Brodnie. Wydaje się, że to podział utrwalał historycznie, taki był i wcześniej, jakby topografia wyznaczała istotę ludzkiego gospodarowania i myślenia. Południowy pas między Dębina a Retowem zajmowały łąki i pastwiska - od zawsze.

Komunikacja odbywała się głównie północnym brzegiem jeziora, duktem przez las z Rowów do Smołdzina, którędy przebiegają szlaki turystyczne SPN. Wędrówki lasem, wizyta w Muzeum SPN w Smołdzinie i Skansenie w Klukach, wspinaczka na latarnię w Czołpinie - to atrakcje wschodniej strony jeziora, obok którego są następne, również piękne: Dołgie Małe i Wielkie i Łębsko. Od zachodu - w Rowach jest inaczej. Duże domy wczasowe, plaża i krótki sezon. Poza nim - pustka. W okolicy w domowym zaciszu, bez rozgłosu powstają obrazy, rzeźby, piękne hafty i koronki - to wszystko mogłoby świadczyć o bogactwie współczesnej kultury regionu. Ciągle jednak jest to działalność niedoceniana. Również bezpowrotnie znikają drobne maszyny rolnicze i sprzę-

i kwiatów. Do szosy Słupsk - Smołdzino stąd kawałek drogi. Cisza. Piękna cisza z symfonią głosów natury!

Jerzy tu nie wędkuje, choć spotyka czasem kłusowników. Zakaz wędkowania wynika głównie ze względu na ochronę siedlisk ptaków. Musiałby jechać do Retowa, bo od Płyty Retowskiej do miejsca wpływu Łupawy do jeziora za Gardną Wielką wędkować można. Oczywiście po wykupieniu stosownego pozwolenia w SPN. Jerzy rozumie i szanuje te uregulowania, bo jako doradca odwiedza często rolników, a ścieżki gminy Smołdzino zna jak własną kieszeń. Od dwudziestu lat przemierza je rowerem bądź pieszo. Ale teraz pochłania go coś innego.

Jego wędka poruszyła się, żyłka pręży się, coś się dzieje - szybkie podcięcie, wprawiony w ruch kołowrotek, gotowy podbierak i... jest! Bez przesady! Tyle emocji, a to tylko płotka. „Trudno, poczekam - musi przyjść moja wielka” - mówi. Wraca do swych myśli, czasem coś opowie Krzysztofowi ciekawemu nowej okolicy.

Retowo jest najbardziej malowniczą miejscowością nad jeziorem Gardno. Od



Fot. Cz. Długoszek

ty domowe oraz sprzęt rybacki z małych kutrów. Nawet jeśli są gdzieś pieczołowicie zebrane, to leżą zamknięte (izba regionalna w szkole w Objeździe). Tymczasem jako wczasowa atrakcja - nawet na deszczowe dni - pozostają spacer.

Płytkowa droga z Dębiny do Retowa wykorzystywana jest jako szlak rowerowy przez prawdziwych miłośników natury. Jazda wymaga umiejętności i odporności na wstrząsy, kto tędy jechał, ten o tym wie, ale dostarcza niezwykłych emocji - można spotkać lisa, wydrę, obserwować ptaki, w kanałach przy kładkach podziwiać grązele i napawać się odurzającym zapachem traw

strony łąk byle jaka szutrowa droga pnie się pod górę, by na wzniesieniu wynagrodzić zmęczonych widokiem jeziora rozłożonego w dole. Widać stąd, gdy się stanie między drzewami, las na przeciwległym brzegu i dalekie domy Rowów, Gardny Małej i Wielkiej i Wysokiej - a wszystkie zasnuje leciutką mgiełką. W Retowie zabudowań niewiele, każde w innym charakterze - jedno czy dwa rolnicze i kilka letniskowych. Chętnych, którzy zamarzyli tu o skrawku ziemi było wielu, ale mieszkańcy Retowa znają wartość piękna, więc do transakcji daleko. Pewnie i tu się zmieni, tymczasem ludzie żyją po swojemu. Ostrożni wobec obcych,

otwarcia i serdeczni dla sąsiadów. Jerzy lubi opowieści i dowcipne uwagi pani Ani, refleksje o życiu pana Kazimierza i innych mieszkańców Retowa. Żywa pamięć ludzi przechowuje zdarzenia, o których zapomina uczonego historia.

W czasie wojny w pobliżu był obóz jeniecki i szpital, niedaleko wyznaczony prostokątem świerków zapomniany wojenny cmentarz, a na Płycie Retowskiej, gdzie latem ćwiczą swe umiejętności wielbiciele wind-surfingu, lądowały i startowały niewielkie samoloty. Z górki do szosy trzeba zjechać po kocich łbach, na wprost urządzonego sztucznie prywatnego łowiska, by zaraz wjechać do Wysockiej. Jerzego nigdy nie kusilo, by tu łowić, cóż to byłaby za frajda?

Co innego na jeziorze. Marzy, by mieć własną łódź, byłaby w przystani, a on by przyjeżdżał, żeby na nią popatrzeć lub wypłynąć, choćby dla ukołysania myśli. Może tak zrobi, gdy będzie na emeryturze. Lubi być tutaj dla widoków i dla ludzi - prostych, szczerych, otwartych. Tymczasem moczy kij, dużej ryby nie widać, ale relaks był znakomity. Za chwilę dobiją do przystani. Popatrzą na jezioro, zatopiony nieopodal, owiany legendami Diabelski Kamień i wrócą samochodem do domu. Wieczorem przy ognisku będą opowiadać o taaaakiej rybie i dowcipy o złotej rybce, która nie chce spełniać marzeń.

Okolice Rowów, jeziora Gardno, Łeby były w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku miejscem plenerów malarskich ekspresjonistów z Berlina: Maxa Pechsteina, Paula Kuhfussa, Siegfrieda Reich an der Stolpe. Aktywni artystycznie byli również mieszkający na stałe w Słupskim Otto Priebe, Margarete Neuss-Stubbe i inni. Obraz olejny „Nad jeziorem Gardno na Pomorzu” Siegfrieda Reich an der Stolpe powielany był na pocztówkach! Dawne obrazy są dziś dokumentem artystycznym epoki oraz życia rybaków, przyrody, kultury materialnej regionu, w którym żyjemy. O dorobku malarzy i grafików zafascynowanych okolicą jeziora czytamy w materiałach przedstawionych przez prof. Andrzeja Czarnika na VII Konferencji Kaszubsko-Pomorskiej (5-6 grudnia 2002 roku w Słupsku). Idea wzniesienia plenerów odżyła (o plenerze w Poraju koło Wicka pisała Gabriela Włodarska-Kosztowska z Kluk w „Powiecie Słupskim” nr 12-14/2007), jednak i dawne, i obecne dzieła są mało znane i czekają na promocję, w ramach promocji regionu.

Jezioro Gardno i jego okolice znajdują się w obrębie Słowińskiego Parku Narodowego, utworzonego 1 stycznia 1967 roku, dziesięć lat później SPN uzyskał status Światowego Rezerwatu Biosfery.

Czesława Długoszek, Objazda

Donoszę na s

Ponieważ fundamentem naszej wiary w człowieka stał się donos lub ujawniona teczka, to żeby dorównać epoce, postanowiłem sam na siebie sporządzić informację – (rodzaj autolustracji) na temat mojej działalności w PRL-u.

W dobie powszechnego, bo wzajemnego oblewania się pomyjami (żeby samemu wyglądać czysto) postanowiłem złamać

rocony. Ze łzami w oczach uczył nas poezji, czym wprowadzał swoje dzieci w posępny nastrój. Cytuję:



świętą w naszej rodzinie praktykę „nie dawania fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu” i... zgłosić wniosek o popełnieniu przestępstwa przez Klemensa Rudowskiego, jego ojca, matkę, brata i siostrę. Przedtem jednak postanowiłem odnieść się do mojej rodziny i społeczeństwa żyjącego w tamtych czasach.

W obecnej stabilizacji moralności, przypominającej „kurek na wieży” wiem, że świadectwem mojego życia nie będzie już tylko świadectwo zgonu, a skrajna (w swej sezonowości) ocena wartości mojego istnienia będzie zależała od „etyków historii”, których cichym hymnem pewnie jest „My jesteśmy tanie dranie, tanie dranie niesłychanie”.

Pragnąc zostać kiedyś uczciwym obywatelem i patriotą przyszłego ustroju, w którym Człowiek a nie Pieniądz będzie wartością najwyższą – inwigilowałem ojca i matkę, także młodsze rodzeństwo.

Ad. I – Ojciec

Donoszę, że w wyniku inwigilacji Ojca przedstawiam Jego polityczny i duchowy wizerunek.

1. Wychowywał się bez matki (zmarła, kiedy miał trzy lata) i zawsze czuł się osie-

*„Blade,
wątłe dziecię ma-
rzy całe dnie*

*Że może tam, na drugim
świecie*

Już chyba tak nie będzie źle.

Duszę rwie tęsknota, serce bólem łka

O Boże, biedna jest sierota

I tego życia dość już ma.”

2. Był gorącym zwolennikiem powszechnej elektryfikacji. (Pod tym względem zgadzał się z Leninem). Cytował nam na ten temat wiersze, z których fragment zapamiętałem do dziś: „co ty robisz głupi cepie?, elektryczność młóci lepiej!” (nie mylić z dzisiejszym sex Shopem).

3. Donoszę, że miał serce po lewej stronie! Wierzył w socjalizm. Często mawiał, że to ustrój lepszy od przedwojennego, bo ludzie żyją godniej: mają pracę, mieszkania, uprawiają państwową lub swoją ziemię i nie umierają z głodu czy bezdomności. (W Polsce międzywojennej zmarł z niedoży-

Samego siebie

wienia Jego 23-letni brat Eugeniusz).

4. Kilkakrotnie (bezwładnie i bezpodstawnie) powołał się – wzywając karetkę pogotowia w Białogardzie – na pracownika UB. W wyniku tak sfingowanej interwencji uratował życie bratu (1953), siostrze (1959), także sąsiadom nie mogącym doczekać się przyjazdu karetki. Kilkakrotnie też był wzywany do Prokuratury za swój „tupet”. Wprawdzie wypląkał sobie wolność u ówczesnej pani prokurator (reprezentował przecież model rodziny „2+3”), ale po jakimś czasie przestał pełnić funkcję dyrektora Centrali Ogrodniczej.

5. Miał przesadnie ogromny szacunek do Ludowego Wojska Polskiego, które to

szego regionu. (Gorzelnie wprawdzie przyczyniały się do rozpijania społeczeństwa, ale to zło łagodzi świadomość, że ludzie ci mieli czym zakąsić – produkcja rolna, hodowla bydła i trzody szła wtedy „pełną parą”. Trudno było znaleźć nawet skrawek ziemi niezagospodarowanej). Poza tym, alkohol ten eksportowany był także do krajów kapitalistycznych. Jego „winę” – być może – także łagodzi fakt, że wysyłał (z ramienia WZ PGR) absolwentów wyższych szkół rolniczych na staże i praktyki zagraniczne: Stany Zjednoczone, Kanada, także kraje europejskie. Owi praktykanci zasilali później kierownicze stanowiska w sferze rolniczej. Prawie wszyscy wracali. Widać - mieli do kogo i do czego!

7. Do kościoła chodził sporadycznie ale nigdy od „wielkiego dzwonu”, choć mszę znał na pamięć, i to po łacinie. Często powtarzał istotę wiary chrześcijańskiej: - „kto kocha Boga, jest człowiekiem. Kto kocha człowieka – jest półbogiem”. Kochał ludzi i sztuki piękne, nie musiał więc szukać miłości w zaświatach.

Pracę na roli i w rolnictwie uważał za najpiękniejszą formę modlitwy! Przewyższać tę modlitwę mogły tylko błagania ludzi skazanych na śmierć w komorach gazowych lub przed rozstrzelaniem w tył głowy (czyt. 1 września i 17 września 1939 r.).

8. Obce mu było prawo wybaczenia w czyimś imieniu. Akt wybaczenia rozumiał w trzech płaszczyznach: biurokratyczne – rozumiane jako odstąpienie od odwetu – np. amnestia; metafizyczne – gdzie wyłączność ma Bóg; oraz – psychologiczne. Tylko psychologiczne wybaczenie – uważał – jest prawdą. Był pewien, że nie ma prawa wybaczać w cudzym imieniu, ani aktem woli – nie czuć urazy. Wyręczanie Pana Boga przez ludzi (tak mało doskonałych) – uważał za świętokradztwo i karykaturę wiary. Odznaczony był wieloma wyróżnieniami, m.in. Krzyżem Kawalerskim, posiadał także kilka odznaczeń „Zasłużony dla Powiatu Słupskiego”. Dziś przechadza się w niebie (pewnie z tymi odznaczeniami). I będzie tak dopóki – mimo woli Boga – „uskrzydleni” w sezonową władzę współcześni „patrioci i etycy” nie wejdą tam po stopniach władzy, żeby Mu odebrać owe odznaczenia (otrzymane za życia). (Odwaga po latach, to cecha coraz częściej spotykana). Znając docieklivość Ojca wiem, że przechadza się teraz w towarzystwie św. Augustyna, próbując zrozumieć jego myśl: „kochaj rzeźnika i wybacza mu jego grzechy”. (Dlaczego tylko jednego – dowiem się jak tam będę. Przy okazji spytam, jak to możliwe, że na ziemi zrodziły się takie potwory, jak Stalin



...dawało Mu poczucie bezpieczeństwa, także potęgę naszego Kraju. Na siłę zabierał mnie i brata na uroczystości Dnia Zwycięstwa (z podniesioną głową, patrząc na przelatujące samoloty – płakał uśmiechnięty. Na nasze zdziwienie „dlaczego płaczesz?” – odpowiadał dumnie: - „bo to Polskie są samoloty synkowie!” Był dumny z LWP i miał nadzieję, że nasze życie i wykształcenie podporządkowane będzie tej zaszczytnej służbie. (Informację o zdrącach w wojsku przyjmował z obrzydzeniem).

6. Jako urzędnik Wojewódzkiego Zjednoczenia Państwowych Gospodarstw Rolnych w Koszalinie (przez 22 lata) utrwał władzę ludową. Oczywiście, że nie sam. Robili to wszyscy – także kombajnista, oborowy, słowem – każdy kto sumiennie wykonywał swoją pracę. Zajmował się więc funkcjonowaniem tych kombinatów produkcyjnych, zakładów rolnych, gorzelnii itp., które zaspokajały potrzeby egzystencjalne na-

KALENDARIUM

6 stycznia w Komendzie Powiatowej Państwowej Straży Pożarnej w Kartuzach odbył się Konwent Starostów Województwa Pomorskiego.

7 stycznia w Centrum Edukacyjnym w Koszalinie odbyło się spotkanie z przedstawicielami samorządu lokalnego z Pomorza Środkowego.

9 stycznia w Delegaturze Zachodniopomorskiego Urzędu Wojewódzkiego w Koszalinie odbyło się 10. Jubileuszowe Spotkanie Noworoczne.

10-11 stycznia w Hali Widowiskowo-Sportowej w Kobylnicy odbyła się XI Regionalna Wystawa Gołębi Rasowych i Drobnych Inwentarza.

13 stycznia w Pomorskim Urzędzie Wojewódzkim w Gdańsku odbyło się spotkanie poświęcone wypracowaniu zasad współpracy pomiędzy zarządcami dróg oraz wojewódzkim Inspektorem Transportu Drogowego w Gdańsku.

13 stycznia w siedzibie starostwa odbyło się cykliczne spotkanie z dyrektorami ośrodków instytucji kultury w powiecie słupskim i mieście Słupsku.

14-15 stycznia w Słupsku odbyły się spotkania z przedstawicielami firmy Ernst & Young z Warszawy nt. promocji inwestycyjnej regionu słupskiego w związku z zamiarem ulokowania w Redzikowie instalacji tarczy antyrakietowej.

15 stycznia w Domu Technika w Słupsku odbyło się sym-

bardziej opłacalne jest posiadanie jednego emeryta w rodzinie, niż utrzymywanie dwóch krów.

i Hitler wraz ze swoimi wyznawcami.)

9. Za wszelką cenę usiłował zainteresować mnie i brata sztuką, czym osłabiał nasze „ornitologiczne” zainteresowania ptaszkami, które to „hobby” tak ochoczo rozwijali nasi koledzy – rówieśnicy. Robili to z taką pasją, że swoje upodobania wynieśli do rangi – sztuki! Szybko też zostali mistrzami w przedmiocie – „prace ręczne”. A my? Z trudem i bez entuzjazmu ćwiczyliśmy na skrzypcach (PSM w Koszalinie), a czas dojazdu i powrót do Białogardu – bezpowrotnie skrócił nam do minimum ulubioną zabawę „w palanta”. Efekt końcowy naszego dorastania był taki, że „długo się stroiliśmy, a graliśmy – krótko”. W wieku 18-tu lat zostaliśmy ojcami. Tyle tylko, że – biologicznymi. Mamy też śluby podwójne: cywilne i kościelne (sakramentalne). I „za polskie dwa tysiące, wiązaliśmy koniec z końcem”. A że nic nie jest wieczne, to już inny problem.

Choć w różnej formie i na różnych poziomach, rodzina moja i ja pracowaliśmy uczciwie, to nie zwalnia nas to z odpowiedzialności, że tym samym – utrwaliśmy władzę ludową.

Ad. II – Matka

1. Pamiętam też, że mając pięć lat (w 1953 roku) uczciłem minutą ciszy śmierć Stalina. (Szedłem z Matką na zakupy w Białogardzie, kiedy z megafonów ulicznych usłyszeliśmy powyższą informację z jednoczesną sugestią zatrzymania się. Miałem wściekłą minę, bo chwilę przedtem Matka odmówiła mi kupna lizaka. Podejrzewam, że gdyby kupiła mi tę słodycz, to za moją uśmiechniętą minę – dziś mógłbym zostać kombatantem. Wiadomo przecież od zawsze, że najwięcej bohaterów jest – po wojnie! Każdej! Dziwna i niezrozumiała wydawała mi się tylko twarz matki i prze-

chodniów, którzy z opuszczonymi głowami uśmiechali się „nieadekwatnie”.

2. W życiu rodzinnym stosowała „dyktaturę proletariatu” i wspierała ruch ludowy. Śpiewała w amatorskich chórach, cerosowała skarpety, łątała dziury w ubraniach, a pierwsze płatki śniegu za oknem – w jakiś życzeniowy sposób – zamieniały się na naszych talerzach w płatki owsiane. Matce – w płatki mydlane.

3. Często gotowała ziemniaki odmiany „lenino”. Sporadycznie tylko fundowała nam odmianę „amerykany”, choć cena jednych i drugich była taka sama.

4. Osobiście pozbawiła życia setki kur i kaczek, rzadziej – indyków. (O karpkach nie wspomnę). Uważam że proceder ten zasługuje na zainteresowanie się także przez organizację GREENPEACE.

5. Informuję również, że w PRL-u moja matka była sklepową w WSS „SPOŁEM”. Sprzedawała m.in. fartuchy robocze, tzw. kufajki ocieplane, gumowce letnie i zimowe, czapki i berety, a nawet – pilotki (biedniejsi kupowali te ze świńskiej skóry, a z cielęcej – „zamożni”). Fakt ten jednoznacznie zaświadcza o utożsamianiu się Matki z klasą robotników i chłopów – ze społeczeństwem ludzi pracy! Pewnie żyjący jeszcze robotnicy, pracownicy rolni i chłopci – rwą resztki włosów z głowy, bo ich nadludzko ciężką pracę, mogą potraktować dziś „współcześni etycy” jako beużyteczną, bo mało opłacalną. I nieważne, że – samowystarczalną. Współczesna Unia Europejska dostarcza nam dziś wszelkie produkty. Szkoda tylko, że polski rolnik ma kłopoty ze snem, pomimo że wokół panuje cisza. (Odgłosy ptactwa domowego, byłaby, trzody chlewnej – może przecież posłuchać na płycie CD.)

Ad. III - Brat

Najbardziej spełniał socjalistyczne

oczekiwania Ojca, choć był o rok młodszy.

1. W tym duchu ukończył Technikum Rolnicze i Wyższą Szkołę Rolniczą. Były to szkoły państwowe PRL-u.

2. Już jako student dał się poznać jako dusigrosz. Nie pił, nie palił. Nie dość, że brał stypendium państwowe, to jeszcze dorabiał (z podobnymi sobie typami) przy rozładunku wagonów kolejowych, statków itp. Robił to nocami (czyt. „szara strefa”). Choć następnego dnia (z braku sił) opuszczał wykłady, jednak stypendium - brał!!!

3. Nauka języka angielskiego sprawiała mu wielkie trudności. (W liście do kolegi - zamiast „how do you do”, napisał - „au, du judu”).

4. Przez trzydzieści lat był kierownikiem Zakładów Rolnych (PGR) w Koszalińskim, Słupskim, Piłskim. Wszędzie tam - nie tyle utrwał socjalizm - co go żywił.

Mało tego! Nagradzał wyróżniających się pracowników, a przydzielane im nagrody - podawał do publicznej wiadomości.

5. Żeby bardziej przypodobać się Ojcu, także tamtemu ustrojowi - został też porucznikiem Ludowego Wojska Polskiego. Ukończył Szkołę Oficerów Rezerwy. Choć ma dzisiaj 60 lat, nadal uważa się za „officera młodszego”.

Trzeba przyznać, że miłość do munduru uratowała mu życie, bo po likwidacji PGR-ów, został... Ochroniarzem (!) prywatnego mienia, którego właścicielami są często podlegli mu kiedyś pracownicy rolni. Teraz - ukarany za myślenie, że „bogaty to ten, który daje, a nie ten, który ma”, z pokorą i z zadośćuczynieniem pełni służebną (wobec prywatnych właścicieli) funkcję. Jego trójka (dorosłych dziś) dzieci także posiada wykształcenie rolnicze i prowadzi działalność w zawodzie wyuczonym: najstarszy syn sadi lasy i zbiera jabłka w Niemczech a dwie córki zatrudnione są w charakterze „gospo-

Dechami zabita

Dziś zostało niewiele: kościół, piekarnia i sklep. Polikwidowano, posprzedawano co się dało i co można było spieniężyć.

Gdy jako dziecko osiedliłam się z rodzicami w Dobieszewie, był rok 1958, styczeń. Była szkoła podstawowa, mleczarnia, piekarnia, sklep, kościół, kółko rolnicze, PGR i świetlica. Później założono klubokawiarnię. Młodzież co tydzień organizowała potańcówki (wtedy tak się mówiło), wieczorami spotykała się w świetlicach, kawiarniach. Co tydzień przyjeżdżało kino objazdowe. Wieś żyła intensywnie i wesoło. Była praca i pieniądze.

Dziś zostało niewiele: kościół, piekarnia i sklep. Polikwidowano, posprzedawano co się dało i co można było spieniężyć. Żle się stało, że sprzedano budynek, w którym mieściła się szkoła podstawowa. Był to dom poniemiecki, piętrowy, ładnie po-

łożony w środku wsi, sąsiadujący z kościołem. Przypominał dworek. Dobrze, że nie sprzedano kościoła...

Do lat siedemdziesiątych mieściła się w nim plebania, zaś szkoła w dwóch małych domach. Później przeniesiono ją do tego dużego dworku, a plebanię do mniejszego domu. Te dwa po szkole przeznaczono na mieszkania dla nauczycieli. Szkoła w dużym budynku była do czasu jego sprzedania. Stało się to jakieś pięć lat temu.

W szkole odbywały się różne imprezy, zebrania, głosowania, zabawy a młodzież grała w piłkę. Było to „serce” wsi. Było, bo przestało już bić. Szkoła sprzedana stoi pusta, niszczyje. Wieś została

dyni domowa" w swoich domach. Dobrze im się wiedzie, bo są pod opieką MOPS-u.

6. Z radością informuję, że zaczyna myśleć ekonomicznie! Wykalkulował, że bardziej opłacalne jest posiadanie jednego emeryta w rodzinie, niż utrzymywanie np. dwóch krów. Zgadza się on także z sołtysiem Kierdziołkiem („cie choroba”), że „życie jest piękne, ale drogie. Można żyć tanio, ale co to za życie?”.

Ad. IV - Siostra

Młodsza od nas (o 10 lat) była najbardziej kapryśna.

1. Znakomicie śpiewała, ale tylko piosenki żołnierskie. (Więcej zdobyła nagród i wyróżnień, niż posiadała woluminów w swojej biblioteczkę.) Zamilkła, kiedy odwołano Festiwal Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu. A i mnie było szczególnie głupio, bo napisałem pracę magisterską nt.: „Festiwale zespołów artystycznych Wojska Polskiego w Połczynie Zdroju w latach 1967 - 1978”, którą to imprezę przejął później Kołobrzeg. (Dzisiaj już nie wiem, czy to wojska zabrakło, czy śpiewają w innych krajach).

2. Była przedszkolanką i opiekowała się dziećmi, których rodzice byli pracownikami rolnymi PGR. Mieszkała z Nimi, solidaryzowała się z Nimi, jadła to samo co Oni. Słowem - przy ich milczącej zgodzie, także z Nimi - utrzymywała władzę ludową.

3. Wzięła ślub z milicjantem. Mając zawsze „gwiazdki w oczach” była niezadowolona z jednej tylko gwiazdki, a przyległa do niej dwie belki, traktowała jako „kłody” pod nogi w poznawaniu świata zachodniego. Rozwiodła się z funkcjonariuszem Milicji Obywatelskiej - i choć ten przekwalifikował się w europejskiego Policjanta - wzięła ślub z Niemcem (który wcześniej był Polakiem, a jego rodzice partycypowali w postawieniu obelisku „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród”.

4. Donoszę, że Siostra mieszka, pracuje i leczy się w Niemczech, (czyt. korzyści wynikające z UE). Ja, „na dobre i na złe” zostałem w kraju. Nie choruję, bo czekam na reformę Służby Zdrowia. Póki co więc jestem „pacjentem rodzinnym” dr Burskiego, dr Latoszka, dr Orlickiej, ordynatora Trettera, a nawet - prof. Zyberta. Jak mi to nie pomoże - pójdę na „Plebanię”. Może nawet rodzina będzie potrzebować „Ojca Mateusza” dla rozwikłania przyczyny mojego zgonu. Na razie seriale telewizyjne wystarczająco polepszają mi samopoczucie i budzą nadzieję na dłuższe, weselsze życie. (Czyt. serial „Rancho”).

Chcę zostawić po sobie - teczkę. Taki - („hajmatowy”, „mało ojczyźniany”) - lokalny ipeenik. Przyznam się w nim także do moich relacjach - z nieletnim jeszcze wtedy - prezydentem RP, pochodzącym z Białogardu, również o nieznanym wtedy powszechnie (dziś już św. pamięci) - Czesławie Niemenie, któremu przez całe życie duchowo towarzyszyłem, próbując naśladować Jego muzyczny geniusz. (Naśladownictwo zdolniejszych od siebie jest przecież najpiękniejszym komplementem.) Z obydwojma Panami miałem zaszczyt poznać się osobiście.

Potencjalna wiwisekcja i ekspiacja dokonywana na trupie mojego ciała i ducha, odbywać się będzie - mam nadzieję - wielokrotnie przez kolejne pokolenia.

Być może - po mojej śmierci - będę też co jakiś czas ekshumowany, żeby - przy pomocy nowych zdobyczy techniki kryminalistycznej - oceniać „moje świadectwo życia” przez kolejnych „etyków”: od pogardy, aż po zachwyty. Od zachwyty - po pogardę. „Słowa, słowa, słowa...”

Ciąg dalszy donosu i autolustracji nastąpi, lub - nie.

**Klemens Rudowski
Lubuczewo**

pozum poświęcone przebudowie Mostu Zamkowego na rzece Słupi przy ul. Gancarskiej w ciągu drogi krajowej nr 6 oraz przebudowie mostu na rzece Słupi w miejscowości Charnowo w ciągu drogi powiatowej Gałęzinowo-Charnowo-Niestkowo.

15 stycznia w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Damnicy odbył się II Ogólnopolski Przegląd Widowisk Bożonarodzeniowych „Damnackie Betlejki 2009”.

17 stycznia w Jezierzycach odbył się IX Powiatowy Przegląd Kolęd i Pastoralek.

21 stycznia w Gminnym Ośrodku Kultury w Smołdzinie odbyło się spotkanie konsultacyjne poświęcone zawiązaniu partnerstw na rzecz pozyskiwania funduszy unijnych.

26 stycznia w Urzędzie Marszałkowskim w Gdańsku odbyła się konferencja poświęcona 10-leciu Samorządu Województwa Pomorskiego. (G. Ś.)



pozbawiona wszelkich rozrywek kulturalnych. Cisza, nic się nie dzieje. No może niezupełnie nic. Jest pomieszczenie w prywatnym budynku - w jednym korytarzu, ze sklepem. Ale gdyby przyszło wię-

cej mieszkańców, nie pomieściliby się.

Nieoficjalnie ludzie mówią, że szkołę sprzedano za bardzo niską cenę. Rok przed sprzedażą zrobiono nawet remont dachu...

A co z młodzieżą? Czy ktoś wzięł to pod uwagę? Czy młodzi ludzie tylko do głosowania są potrzebni? Nasza wieś zrobiła się „dechami zabita”.

Anna Karwowska, Dobieszewko

Człowiek ucieka

Z księdzem kanonikiem Jerzym Wyrzykowskim – proboszczem parafii Duninowo rozmawia Włodzimierz Lipczyński

- Misja społeczna stanowi jedno z najważniejszych wyzwań współczesnego Kościoła. Zagadnienie to jest zawsze aktualne i zawarte w encyklikach papieża: Leona XIII *Rerum novarum* z 15 maja 1891, Pawła VI *Populorum progressio* z 26 marca 1967, Jana Pawła II *Sollicitudo rei socialis* z 30 grudnia 1987 roku. Jak rozumieć obecnie kwestie społeczne w/w encyklik? Na czym polega obowiązek „solidarności społecznej”?

- Człowiek rodzi się trzy razy: pierwszy raz - dzięki swojej matce do życia naturalnego, drugi - dzięki łasce chrztu św. do życia nadprzyrodzonego, a trzeci raz do życia społecznego. Dlatego został wyposażony w dary, talenty, charyzmaty, aby rozwinięty mógł tym, których spotka na swojej drodze służyć i wspólnie z nimi „czynić sobie ziemię poddaną”. Katolicka nauka społeczna zrodziła się ze spotkania orędzia ewangelicznego i jego wymogów etycznych z problemami życia społecznego. Chodzi o to, aby wszelkie inicjatywy życia politycznego i gospodarczego oprzeć na zasadach Ewangelii. Interwencja Kościoła w sprawy społeczne wynika z jego misji. Polega ona na spełnianiu funkcji służebnej wobec sprawy zbawienia każdego konkretnego człowieka, realizującego w życiu doczesnym swoje powołanie do wieczności. Obowiązkiem Kościoła jest głoszenie i obrona prawa moralnego. Z tego właśnie tytułu Kościół ocenia, czy dany porządek społeczny i gospodarczy jest, czy też nie jest zgodny z porządkiem moralnym. Kościół „wszędzie i zawsze zabiega o to, by uczynić człowieka lepszym, bardziej świadomym swej godności, pełniej oddanym swoim zadaniom życiowym, rodzinnym, społecznym, patriotycznym. Aby uczynić go ufnym, mężnym, świadomym swoich praw oraz obowiązków, społecznie odpowiedzialnym, twórczym i pożytecznym” – nauczał Jan Paweł II. W tym znaczeniu nauka społeczna Kościoła nie straciła nic na swojej aktualności. Wprost przeciwnie, w dobie obecnych problemów społecznych wzrasta jej znaczenie. Zawsze nowe problemy społeczne, nowe zjawiska wymagają nowego spojrzenia - nowego światła, jakie rzuca Kościół. W tym znaczeniu dokonuje się pewien rozwój nauki Kościoła. Gdy zaś idzie o solidarność

społeczną - Kościół określa ją jako podstawową zasadę życia społecznego. Człowiek jest istotą społeczną. Solidarność społeczna jest zasadą regulującą i porządkującą życie człowieka w społeczeństwie. To realne zobowiązanie do zaangażowania się na rzecz dobra wspólnego, czyli dobra każdego i wszystkich. Idea solidarności jest wymogiem braterstwa. Jan Paweł II przypominał, że zasadą tą powinno się objąć zwłaszcza ludzi ubogich, gdyż solidarność opiera się na zasadzie godności wszystkich osób i narodów oraz równego prawa wszystkich do korzystania z dóbr stworzonych przez Boga. My wszyscy tworzymy pewną społeczność i jesteśmy nawzajem za siebie odpowiedzialni. Misja społeczna Kościoła to dzisiaj wielkie wyzwanie i zadanie chrześcijan. Nie można się ograniczać do własnego podwórka domu czy nawet własnego ja. Jedną z najbardziej podstawowych komórek społecznych Kościoła jest rodzina, a tutaj przecież jest coraz mniej odpowiedzialności za siebie nawzajem. Jest to środowisko, w którym mamy uczyć się służby miłości, ale miłości odpowiedzialnej. W tym sensie myślę także o parafii. Tworzymy bowiem wspólnotę uczniów Chrystusa, chrześcijan. Jesteśmy odpowiedzialni za siebie nawzajem. Swoją postawą mamy się wspólnie ubogacać, pomagać, wspierać, służyć. W ten sposób budujemy i wzmacniamy Kościół partykularny, jakim jest parafia.

- Myślą przewodnią w nauce Kościoła jest stwierdzenie: „wszyscy potrzebują katechizacji”. Jedno ze stwierdzeń mówi też, iż „katechizacja obowiązkiem wszystkich”. Czy współczesną katechizację można porównać do ewangelizacji? Jak naukę Kościoła w sprawie katechizacji przełożyć na działanie praktyczne? Proszę o jakieś przykłady.

- Ciężko jest odróżnić katechizację od ewangelizacji. Nieustannie bowiem musimy dawać świadectwo naszej wiary w codziennym życiu. Jeżeli chcemy kogoś przybliżyć do Chrystusa, sami powinniśmy nosić Go w swoim sercu, żyć Chrystusem, dla Chrystusa i z Chrystusem. Przykłady katechizacji są takie jak w wielu innych parafiach - spotkania formacyjne dla młodzieży (ministranci, schola, bierzmowania, dzieci przystępujące do I Komunii św., grupa teatralna). Organizowane są pielgrzymki,

również do naszej parafii przyjmujemy wakacyjne grupy dzieci i młodzieży. Szukamy funduszy i środków materialnych (odzież, żywność), by pomóc każdemu, kto jest w potrzebie. Cieszę się, że ks. biskup od lat kieruje do naszej parafii drugiego kapłana. Wspólnie można zrobić więcej. Ostatnio ks. Rafał zorganizował atrakcyjne spotkania dla ministrantów, jeździ z nimi na halę sportową do ogólniaka, na basen do Darłówka, zebrał kilkanaście dziewcząt z różnych wiosek próbując stworzyć scholę liturgiczną. Od lat wysyłamy starszych i młodzież na rekolekcje indywidualne. Wielkim zainteresowaniem cieszą się rekolekcje caritasowe. Podczas pielgrzymek, a było ich do samego Wiecznego Miasta 34 prowadzę cykl nauk poświęconych katechezie permanentnej, historii powszechnej Kościoła, liturgii, martyrologii. Kiedy inni zajęli się przebudową naszego Ojczystego Domu zrozumiałem, że najlepszą katechezą będzie dotarcie do źródeł chrześcijaństwa. Stąd pielgrzymki do katakumb, Grobów św. Piotra i Pawła, Watykanu. Obecnie organizujemy pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Pierwsza, rowerowa odbyła się w 1981 roku, stąd dzięki nawiązanym kontaktom łatwo było zorganizować kolejną mając dach nad głową w zaprzyjaźnionych parafiach i katolickich szkołach.

- Encyklika *Veritatis splendor* (Blask prawdy) autorstwa Jana Pawła II z 6 sierpnia 1993 roku dotyczy podstawowych problemów nauczania moralnego Kościoła. W tradycji Kościoła istnieje nieustanne pogłębianie wiedzy moralnej. Jak Ksiądz realizuje i przypomina o niektórych fundamentalnych prawdach doktryny katolickiej w kontekście współczesnych prób ich podważenia lub znieszczenia? Na jakie trudności w samej społeczności chrześcijańskiej ksiądz natrafia wobec licznych wątpliwości i zastrzeżeń natury humanitarnej, psychologicznej, społecznej, kulturowej i religijnej?

- Cóż, refleksja nad całością moralnego nauczania w Kościele zawsze była jest i będzie. Są jednak pewne pryncypia, które się nie zmieniają, mimo że człowiek próbuje naginać często Prawo Boże do swojego wygodnictwa, woli np. żyć w związku niesakramentalnym zamiast wypełniać Dekal-

przed Kościołem

log w swoim życiu. Ludzie często woleliby pouczać Kościół, jak trzeba żyć oraz postępować, zamiast dostosować swoje życie moralne do wymagań, które stawia Kościół. Problem między czynem moralnym i praktykowaniem Ewangelii budził w ciągu dwóch tysięcy kontrowersje. Zło jest zawsze bardziej aktywne, szczególnie gdy dotyczy wrażliwego młodego pokolenia, które nie ma dobrego przykładu. Dotyczy to również takiej wspólnoty jak nasza. Niestety i tu wkraść się problem narkotyków, alkoholizmu, niesakramentalnych zwią-

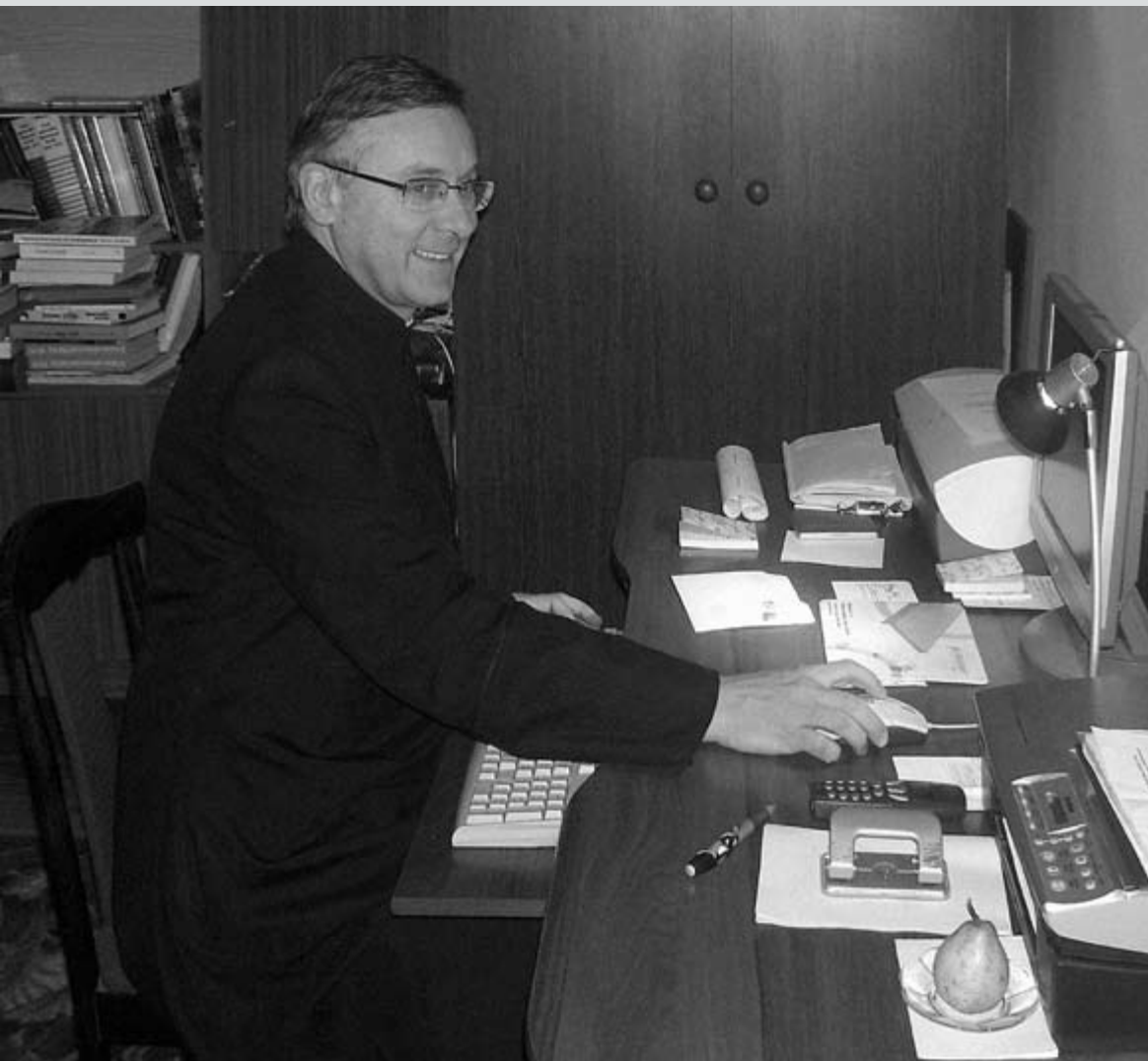
związanych z młodzieżą chowanie". Było kilka precedensów podczas wakacji z młodzieżą przebywającą u nas w schronisku. Musiała interweniować policja. Brak zajęć na wsi podczas wakacji i wartościowych liderów prowadzi innych na manowce. Dlatego staraliśmy się wychować liderów, o co też zabiega obecny ks. biskup ordynariusz Edward Dajczak. Udało się przy parafii zorganizować obiekty sportowe, na które wszyscy mają wstęp: są to boiska do piłki nożnej, koszykówki, siatkówki, sala tenisowa. Aby obniżyć koszty wyjazdów na zimowiska i obozy

kwestia ekologiczna". Ksiądz proboszcz jest znany jako wielki entuzjasta ekologii, ale istnieje poważniejsze niebezpieczeństwo - niszczenia środowiska ludzkiego. Jak Ksiądz interpretuje ochronę warunków moralnych „prawdziwej ekologii ludzkiej”? Jakimi metodami czy sposobami można zwracać szczególną uwagę na „społeczną ekologię” pracy?

- Słyszałem kiedyś na kongresie ekologicznym organizowanym w Centrum Edukacyjno - Schroniskowo - Ekologicznym w Duninowie (taką nazwę nosiło pierwotnie nasze Publiczne Szkolne Schronisko Młodzieżowe), że pierwsze zagrozenie terenu na początku dziejów ludzkich spowodowało wszystkie wojny, napady i najazdy. Bóg stwarzając ziemię i wszelkie jej dobra: minerały, prawa w makro i mikrokosmosie uczynił je własnością wszystkich ludzi. Dziwi myślących w kategoriach powszechności Prawa Bożego choćby ostatnie ograniczenie środków przyznanych przez poprzedni rząd na badanie geotermalne w Toruniu, a zablokowane przez obecny. Mnie się jeszcze udało za rządów pierwszej Solidarności uzyskać konsensus i środki na zainstalowanie „pompy ciepła” z wymiennika gruntowego dla trzech obiektów parafii: Schroniska Młodzieżowego, kościoła zabytkowego z XV w. i domu parafialnego. Dzięki temu ogrzewaniu udało się wyeliminować zagrzybienienie i zawilgoceenie w murach kościoła, a w schronisku od lat możemy przyjmować dzieci Polonii z Ukrainy, Litwy, a obecnie z Białorusi. Troska o środo-

wisko wynika z uświadomienia sobie prawdy o stworzeniu. Człowiek jest powołany do panowania nad ziemią mądrze i z miłością. Do panowania nad nią, a nie do niszczenia, gdyż stworzenie jest darem Bożym i jako takie wymaga szacunku. U podstaw bezmyślnego niszczenia środowiska leży błąd antropologiczny. Człowiek mniema,

zło jest zawsze bardziej aktywne



ków. Rozmowy po kolędzie, indywidualne rekolekcje, pielgrzymki do sanktuariów, odwiedzanie więźniów czy oczekujących na wyroki na pewno po latach przyniosą owoc. Często starsi w rozmowach używają uogólnień, że młodzież nic nie warta. Jest to problem złożony. Wtedy zawsze tłumacząc, że „taką mamy Rzeczpospolitą jakie

letnie dla dzieci i młodzieży organizujemy zabawy taneczne i szukamy sponsorów.

- W encyklice Centesimus annus Jana Pawła II z 1 maja 1991 roku w rozdziale V. Własność prywatna i powszechne przeznaczenie dóbr, w paragrafie 37 mówi się: „Obok problemu konsumizmu budzi niepokój ściśle z nim związana

że samowolnie może rozporządzać ziemią bez liczenia się z Bogiem. To tzw. „grzech ekologiczny” wynikający z kryzysu moralnego. Kształtowanie postaw proekologicznych jest procesem długotrwałym - dzieje się najpierw w rodzinie (np. uczenie sortowania śmieci), w szkole (poprzez różne organizacje społeczne) i w końcu w ramach samego państwa. W tym kontekście można też mówić o „ekologii ludzkiej” - to troska o środowisko sprzyjające duchowemu wzrastaniu człowieka. Wystarczy wspomnieć o niszczącym wpływie konsumizmu na życie duchowe wielu ludzi (niszczenie dnia świątecznego, to niszczenie człowieka, zatrwanie porządku, którego twórcą jest sam Bóg).

Pyta Pan o społeczną ekologię pracy. Ojciec św. Jan Paweł II poświęcił temu zagadnieniu ogromnie dużo uwagi. Będąc na jednej z pielgrzymek do Wiecznego Miasta byłem zaproszony na nominację pierwszego w świecie przy Watykanie ministra do spraw Rodziny. Został nim abp Argentyny.

Mówił wówczas o zagrożeniu podstawowej komórki społecznej jaką jest rodzina dotknięta różnymi przejawami deformacji. Często celowej, którą krwiożerczy kapitalizm i tworzone pod niego prawa prowadzą do rozbitcia relacji w rodzinach, używając szczególnie kobiet-matek jako uprzedmiotowionej taniej siły roboczej kosztem rodziny, wychowania, rodzicielstwa. Abp wymienił trzy zagrożenia, które uderzają w rodzinę: w jej podstawową naturę jako związek mężczyzny i kobiety, w jej cel jakim jest urodzenie i wychowanie potomstwa oraz w jej jedność i nierozzerwalność. Szatan jakby się sprzymierzył w swoim zamiarze zniszczenia podstawowej komórki społecznej używając liberalizmu i wszelkich środków do odrzucenia Bożych planów wobec małżeństwa i rodziny. Widzę ogromne zagubienie młodego człowieka w rodzinie, w której brakuje czasu na modlitwę, niedzielną mszę św., rozmowy między członkami rodziny. Narzucony przez reklamę i media dyktat ekonomiczny oraz

konsumpcyjny tryb życia, wyrzuca w wielu rodzinach w swoim rozrachunku dochodów i przychodów Pana Boga i Jego prawa. Stąd animatorzy wartości religijnych żyjący na co dzień duchem Ewangelii, a takich spotykam w moim środowisku, są dzisiaj, jak w pierwotnym Kościele, nieodzowni. Przykładem są coroczne prelekcje na temat profilaktyki zdrowotnej głoszone przez lekarzy, którzy podejmują się tego zadania. Zaprosiłem już dr. Wojciecha Polaka z wykładem o profilaktyce cukrzycowej, dr. Sławomira Garbacza, który będzie mówił o zagrożeniu życia skutkami używek i narkotyków, dr. Marię Chabowską z Gdańska z profilaktyką antyrakową dla kobiet i skutkami stosowania antykoncepcji, dr. Jerzego Kozakiewicza, dr. Ewę Kreft, którzy powiedzą o ogólnych zagrożeniach zdrowia, Mariannę Masilewicz, która mówiła o zagrożeniach układu pokarmowego. Swoim świadectwem wiary zaszczyliła nas w jedną z niedziel p. senator Dorota Arciszewska-Mielewicz, która podczas mszy

Nie tylko pochwalała in

Nie wiedziałam wcześniej, kim jest Grzegorz, ta część listu była dla mnie niezrozumiała.

Dzięki informacji Krystiana - nieznanego z internetowego forum - nabrałam pewności, że Józef pisał o synu Sebastiana Turka.

Jakiś czas temu opowiedziałam o braciach bliźniakach urodzonych w 1918 roku w Plebańcach pod Brasławiem. Obaj byli żołnierzami II Armii. Jeden z nich zginął, drugi żył z poczuciem straty. Omijałam kilka epizodów, których nie rozumiałam, ale nie dawały mi spokoju. Zastanawiałam się nad możliwościami ich wyjaśnienia.

Mogłabym przecież pochodzić po bibliotekach, może nawet poza Słupskiem, by odkryć wszystkie powiązania skomplikowanej historii rodzinno-wojennej. Zaczęłam jednak od zaparzenia kawy i wyciągnięcia klawiatury komputera. W przeglą-

darkę wpisałam kilka słów i rozpoczęłam internetową wędrówkę. Otwierałam kolejne strony, sprawdzałam adresy. Mogłam zapukać klawiszem do nieznajomych, poprosić internetowych przechodniów, zajrzeć do wirtualnych bibliotek w każdym mieście. Pasjonująca podróż po internetowych portalach przyniosła rezultaty. Na forum genealogicznym dyskutowano o książce, której istnienie przed chwilą odkryłam na Allegro. Ktoś wystawił ją za 150 zł. Zastanawiałam się, czy nie przystąpić do licytacji. Posiadanie książki tylko dla siebie jest dla mnie wielką pokusą, a to pozycja wy-



św. odczytała liturgię Słowa. Reasumując, uczciwym życiem wobec Boga, siebie i ludzi dajemy świadectwo wiary i przekazania nienaruszalnych wartości, od których zależy przyszłość rodziny, społeczeństw i świata. Wtedy nic i nikt nie będzie przeszkadzać, aby szanować Boga, bliźniego, świat i ekologię przez Boga stworzone.

- To pytanie na zakończenie naszej rozmowy będzie oderwane od poprzednich i związane jest z pasją Księdza - licznymi wyjazdami i organizowanymi pielgrzymkami po Europie. Jak Ksiądz wyobraża sobie Europę w przyszłości - są do wyboru trzy wizje: Europa zjednoczona, tzw. „Stany Zjednoczone Europy” (wizja katolickiego prezydenta Francji de’Gaulle), „Europa Ojczyzn” - duża ojczyzna europejska składa się z zachowania i tożsamości małych Ojczyzn (wizja premier Wielkiej Brytanii M. Thatcher), „Europa Chrześcijańska” - powrót do wspólnych korzeni i zasad „solidaryzmu

społecznego”, tzn., że bogate społeczności podzielą się z biednymi (wizja Papieża Jana Pawła II). Jak zmieniają się społeczności europejskie zgodnie z nauczaniem Kościoła i czy powstaje Pokolenie Jana Pawła II?

- Pokolenie Jana Pawła II już powstało. Pragnę zauważyć, że wizja Europy Chrześcijańskiej to nic innego jak powrót to tego, czego Kościół nauczał i będzie nauczał. Jest to zaproszenie do powrotu autentyzmu wiary pierwszych chrześcijan. Na te kwestie częściowo odpowiedzi udzieliłem już w pytaniu trzecim. Człowiek ucieka, próbuje wymyślać, humanizować prawo. Ewangelia się nie zmieniła. Pozostaje nam modlitwa o ten powrót, ale przede wszystkim o wierność w swoim życiu Ewangelii. Spotkałem wielu Polaków za granicą. Byłem zaproszony przez parafian, którzy stąd wyjechali do USA. Tam gdzie kontynuowali tradycję chrześcijańską, tam były wartości, patriotyzm sięgający najchwalebniejszych tradycji humanizmu i człowieczeństwa.

Wspomnę przykład p. Stanisława Gołąba (ojciec, twórca „Bolka i Lolka” ożeniony z naszą parafianką). Głowa domu jest lektorem na niedzielnej mszy świętej i radnym parafii. Wysłał swoje dzieci z naszą młodzieżą na pielgrzymkę do sanktuariów Europy. Na pytania naszych rówieśników o życie rodzinne, syn reżysera słynnej bajki dla dzieci odpowiada: u nas nie ma telewizora, bo zrozumieliśmy, że nie rozmawiamy. Teraz mamy czas na różaniec, wspólne spędzanie czasu, rozmowy. Zapraszano ciekawych Polaków, aby budzić w dzieciach patriotyzm, nawiązywać do chwalebnych kart historii naszego narodu. Byłem zafascynowany postawą i żywą wiarą chrześcijanina Polaka na obczyźnie. Takich jest wielu, którzy budują „dom nie ręką uczyniony”, ale w swoim sercu, a wtedy i ten ziemski mają piękny.

- Dziękuję za rozmowę, a z okazji obchodzonego jubileuszu 50-lecia istnienia Parafii Duninowskiej, życzę wszelkiej pomyślności i... szczęść Boże.

Internetu

jątkowa: „Księga poległych na Polu Chwały 1943-1945”, wydana przez MON w 1974 roku. Powędrowałam jednak nowym śladem. Przecież mogę za pomocą kilku kliknięć wrócić i wpłatać się w wirtualny hazard. Tymczasem na „4gen” (Forgen) Krystian z Łądką-Zdroju pochwalił się, że ma tę wyjątkową pozycję i obiecał Magdalenie z Krakowa sprawdzenie kilku informacji. Wysłałam do niego maila. Fotka wskazywała, że jest miłym młodzieńcem:

„Dobry wieczór. Poszukuję informacji o poległym wiosną 1945 roku na terenie Niemiec żołnierzu II Armii WP - Józefie Turek, ur. 10.09.1918 w Plebańcach. Znalazłam Pana informację o posiadaniu publikacji „Księga poległych...” i ofertę pomocy - wprawdzie nie do mnie skierowaną, ale świadczącą o Pana życzliwości. Bardzo proszę o pomoc. Ukłony. Czesałwa Długoszek”.

Nie pomyliłam się. Odpowiedział mailem jeszcze tego samego dnia. Przesłał następującą informację z „Księgi poległych na Polu Chwały 1943-1945”: „TUREK JÓZEF s. Kazimierza, ur. 1918 r. w m. Plebańce, rej. Braśław, szer. 25 pp, poległ 3 V 1945 w m. Commerau (NRD). CAW, III-127/56, s.32. Jest jeszcze z tej samej miejscowości: TUREK GRZEGORZ s. Sebastiana, ur. 1925 r. w m. Plebańce, rej. Braśław, szer. 29 pp, poległ 16 IV 1945 r. nad Nysą. CAW, III-127/56, s. 269.”

Zapis jest krótki, z wieloma symbolami. „Być może jest tam informacja o miejscu pochówku?” - pomyślałam. Napisałam do Krystiana jeszcze raz i otrzymałam odpowiedź:



Fot. Archiwum autora

„Witam! Np.: CAW, III-23/171, s. 27. Jest to tzw. sygnatura. CAW - Centralne Archiwum Wojskowe; cyfra rzymska - oznacza grupę akt; arabska - numer zespołu łamany przez numer teczki w zespole; i wreszcie strona, z której zaczerpnięte zostały dane. Można napisać do tego archiwum z prośbą o przesłanie kserokopii danych konkretnej osoby i powołać się na te oznaczenia co skraca czas poszukiwania. W przypadku zwykłych żołnierzy jest to zazwyczaj ksero z dokumentu opisującego ewentualne rany i przyczynę śmierci (przynajmniej ja takie dostałem). Niestety nie ma w publikacji miejsc pochówku, czego osobiście żałuję.”

Krystian okazał się nie tylko uczynnym, ale wyrozumiałym i cierpliwym internautą.

Przesłane przez niego informacje były dla mnie niezwykle ważne. Po pierwsze poznałam dokładną datę i miejsce, gdzie poległ Józef. Po sześćdziesięciu latach w rodzinnej legendzie fakty zaczęły się zacierać i zmieniać. Po drugie zrozumiałam, o kim pisał Józef w ostatnim frontowym liście do brata Adama. Po trzecie - obejrzałam jeszcze raz postrzępione przez czas fragmenty kartki, próbowałam zrozumieć, co czuł kreśląc w przypadkowym, nieznanym miejscu krótkie zdania listu do brata, który niedaleko, tak jak on...

Jak inni widzą ten bolesny fragment naszej historii? Co myślą zwykli ludzie, czy wydarzenia odległe o dwa pokolenia budzą jeszcze emocje? Znów odpowiedzi szukałam w Internecie.

Fot. Archiwum autora

Internauta „Grek” na Forum miesięcznika „Odkrywca” pod datą 2005-05-10/23:21 tak się wypowiada, po obejrzeniu filmu dokumentalnego o operacji budziszynskiej, emitowanego w TVP3 w maju 2005 roku: „W skrócie wyglądało to tak: jednostki polskie dostały rozkaz zdobycia Budziszyna, i dalej Lipska. Parły rozciągnięte do przodu, nie napotykając większego oporu. W tym momencie poszło niemieckie kontruderzenie od południa - grupa gen. Steinera (? - nie pamiętam dobrze) szła na odsiecz okrążonemu Berlinowi. Przecięła zgrupowanie 2 Armii na pół atakując od tyłu Polaków. Zanim dowództwo polskie załapało, co się dzieje, już nie było niektórych pułków i batalionów, straty dochodziły do 90 proc. [...] WP uwikłało się w ciężkie walki z dobrze wyposażonymi i doświadczonymi frontowo Niemcami (w oddziałach polskich było dużo świeżych rekrutów z terenów Polski lubelskiej). Ale dzięki tym walkom Niemcy nie doszli z odsieczą do Berlina, ich ofensywa ugrzęzła. [...] Mieli szczęście, bo przeżyli, a byli tylko dwa tygodnie do końca wojny.

A rzeź była straszliwa - niektóre pułki wychodziły w otwartym terenie prosto pod niemieckie lufy, bo nie było kompletnie żadnej informacji o tym, co się dzieje.”

Odczytałam na nowo zachowany sprzed sześćdziesięciu lat fragment listu i zrozumiałam, że Józef dzielił się z bratem smutną wiadomością. Grzegorz w chwili śmierci miał tylko dwadzieścia lat, był na progu dorosłego życia. Józef był przygnębiony okrutną wiadomością, a za kilka godzin wyruszają na front. Co przyniesie los - tym się nie przejmuję, to jest sprawą Najwyższego. Pod Cammerau 3 maja 1945 roku Józef zginął, brat był niedaleko, ale nie dowiedział się nigdy, gdzie go pochowano. Wojna nie zna braterskich uczuć.

„[...] za kilka godzin/ [...] się nie przejmuję / [...]wyższego]. Dostałem wiadomość / [...]a] jest prawdziwą że Grzegorz...”

Nie wiedziałam wcześniej, kim jest Grzegorz, ta część listu była dla mnie niezrozumiała. Dzięki informacji Krystiana - nieznanego z internetowego forum - nabrałam pewności, że Józef pisał o synu Se-

bastiana Turka. I oto nowa zagadka rodzinna. Czy Sebastian, ojciec Grzegorza, był bratem Kazimierza, ojca bliźniaczych braci Józefa i Adama? Niestety, tej informacji w Internecie znaleźć nie mogłam, ale wiedziałam, że na blogu brasławian na Onecie pojawiła się wzmianka o naszym krewnym z Trójmiasta. Ojciec wspominał go czasami z atencją, wymienialiśmy świąteczne kartki, ale kontakt się urwał. Zagonieni przez codzienność, zatopieni w swoich światach zapomnieliśmy o krajanach, wspólnych korzeniach i przeszłości. Napisałam do niego korzystając z Poczty Polskiej, przesłałam mu egzemplarz „Powiatu Słupskiego” z tekstem „Rówieśnicy Niepodległej”. Pamięć bohaterów zdarzeń nie poddana analizie historycznej przechowuje prócz faktów także emocje. Czasami są one wyraźniejsze niż fakty, które opisuje historia. Być może będzie tak w relacji, którą prześle do mnie adresat mojej przesyłki. Zadzwoił wzruszony, zapowiedział odpowiedź listowną, która niebawem nadeszła.: „Wzruszenie jest zrozumiałe, bo przypomniałaś

Ostatni tacy...

To trochę przewrotny tytuł, ale tak nazwałam seniorów pewnej rodziny żyjącej w Małęczynie, którymi jestem zafascynowana, szczerze ich podziwiam i mam dla nich głęboki szacunek.

Ona urodziła się w Legnicy, krótko przed zakończeniem I wojny światowej. Wychowywała się bez ojca. On, urodzony w okolicach Opoczna, a los zetknął ich na zachodnim krańcu Polski, w okolicach Kawcza pod Miastkiem. Znajomość ta zakończyła się ślubem w 1964 roku, w kościółku w Żydowie. Młodzi zamieszkali w domu żony w Kawczu. Niezbyt długo cieszyli się sobą, bo męża wzięli do wojska, a ona w 1966 roku urodziła pierwszego synka. W domu ojczym nie zawsze patrzył łaskawym okiem na pasierbicę z dzieckiem. Po śmierci teścia trzeba było się zająć gospodarstwem.

Wiosenną porą, konikiem zaprzężonym do wozu jadą młodzi z małym synkiem opatulonym w ciepłe koce siedem kilometrów do Nowego Żoliborza. Miejscowość ta, niezbyt duża, jest oddalona od szosy. Wokół lasy i pola. Tu na świat przychodzi drugi synek. U teściowej nie jest łatwo: dwójka małych dzieci i wyczerpująca praca w gospodarstwie. Brakuje wiele rzeczy, brakuje własnych pieniędzy.

Pracowała wraz z mężem ile sił i niejednokrotnie łzami zraszała główki swoich malców. Jednak to nie im, a córce teściowa przekazała gospodarstwo. Trzeba było szukać nowego miejsca do życia. W 1968 roku przenieśli się do Ciecholubia. Mąż znalazł pracę w Lasach Państwowych. Praca na akord. Znów liczyła się jej pomoc. Zostawiała śpiące dzieci i biegła do lasu poma-

gać mężowi.

W 1970 roku podjęli kolejną decyzję o zmianie miejsca do życia. Teraz jest to PGR w Bożenicy. Rodzi się kolejny syn. W 1971 roku są już w PGR-rze Małęczyno. Tu na świat przychodzi córeczka, a po dwóch latach - druga. W Małęczynie mocno zapuszczają korzenie - już na zawsze. Wcale mi nie do żartu, ale tylko takiej użyła turystyki w swoim życiu...

Życie w PGR-ach nie było łatwe. Pracy nie brakowało, ale wynagrodzenie było mizerne. Musiała pójść do pracy. Ani ciąża, ani małe dzieci nie dawały jaja żadnego przywileju. Podjęła pracę w oborze. Dostała do obsługi dwadzieścia dwie krowy.

- Rano trzeba było umyć każdą sztukę, wydoić uprzętnąć obornik i wywieźć tackami, napić cielęta, pomyć wiadra, konwie, sitka do cedzenia mleka. Latem, jak bydlę wychodziło na pastwisko, praca kończyła się o siódmej rano. Zimową porą dochodziły dodatkowe obowiązki: zadawanie paszy bydłu. Najtrudniejsze, najbardziej uciążliwe było noszenie po schodach skrzyń z kiszonką. Nikt się nie przejmował, nie przestrzegał, ile kobieta może dźwigać i przetranszować ciężaru. W domu nie wiedziałam w co włożyć ręce. Dzieci domagały się jedzenia, każde trzeba było obmyć, przebrać. O pampersach nikt wtedy nie słyszał. Wodę trzeba było wiadrkami przynieść z pompy odległej około 50 metrów. W chlewiku wieprzki domagały się także śniadania, coś trzeba było

czas i miejsce mojej młodości”- usprawiedliwiał się. I dalej pisał:

„Niewiele mogę powiedzieć o Twoim dziadku Kazimierzu.[...] Oprócz Kazimierza był również Sebastian Turek, ojciec Grzegorza, o którego pytasz. Nie wiem czy i jak blisko byli spokrewnieni, chyba byli braćmi. Szczęśliwy czas młodości został zakłócony wojną: wrzesień 1939 – czerwiec 1941, okupacja rosyjska 1941-1944 niemiecka i ponownie rosyjska. Każdy z tych okresów obfitował w różne bulwersujące sytuacje, jako osobny temat. W swoim wspomnieniu piszesz, że we wrześniu 1944 Józef i Adam zostali powołani do formującej się II Armii. W tym miejscu chciałem wspomnieć o okolicznościach, które poprzedziły to wstąpienie. Armia Czerwona, po ponownym wstąpieniu, zarządziła mobilizację mężczyzn, pod bezwzględny rygor. W konwoju pieszym doszliśmy do Nowej Wilejki (koło Wilna), skąd towarowymi wagonami wywieziono nas w głąb Rosji, do miejscowości Władimir nad rzeką Kłazmą, gdzie próbowano szkolić, ale były to ciężkie roboty

przy budowie ziemianek do zamieszkania. Już wtedy wiedziliśmy o tworzonych polskich jednostkach i to było jednym z dodatkowych bodźców przetrwania.

We wrześniu 1944, wykończeni fizycznie i moralnie zostaliśmy przetransportowani, w podobny sposób jak poprzednio do Polski, do wsi Dojlidy koło Białegostoku (obecnie to już dzielnica miasta). Tu otrzymaliśmy polskie mundury, był to 6 zapasowy pułk piechoty. Czas do wczesnej wiosny 1945 upłynął pod znakiem intensywnego szkolenia wojskowego. O ile pamiętam byli tam wszyscy znajomi z Plebanc. Tam ciężko zachorowałem i przez to nie znalazłem się w pierwszej fazie rozdziału do poszczególnych jednostek frontowych. W tych warunkach ostatni raz, niestety, widziałem się z Józefem i Grzegorzem. Do maja 1945, czyli zakończenia wojny byłem w zapasowych jednostkach frontowych. Dopiero w 1947 roku po zdemobilizowaniu spotkałem się z rodziną repatriowaną do Polski.”

To niezwykle cenna dla mnie opowieść, mimo że nie daje odpowiedzi na

wszystkie pytania. Pewnie nie uzyskam ich szybko, ale zawsze mam nadzieję, że nawet bez możliwości penetrowania specjalistycznych bibliotek, będę mogła odkrywać dzieje rodziny wpisane w niezwykłą historię Polski. Czasem jedna informacja jest jak nici Ariadny. To nic, że Internet z pozoru jest jak splecione kłębek, tyle tam rwących się wątków i fałszywych tropów. Umiejętność trzeźwej oceny informacji, możliwość jej sprawdzenia, łatwość dotarcia do kompetentnych ludzi jest konieczna i poza Internetem. Oszukanym, wywiedzionym w pole można być nie tylko w wirtualnym świecie.

Nie kupiłam na Allegro interesującej mnie książki, ale wiem kto ją ma, i wiem, że chętnie udziela informacji w niej zawartych. Zawsze mogę sięgnąć z poranną kawą przy komputerze i wysłać maila z prośbą o pomoc. Mieszkam na wsi, więc korzystam także z wydawnictw internetowych. Książki dostarcza Poczta Polska lub kurier.

**Czesława Długoszek
Objazda**



szybko sypnąć kurom pod nogi.

Ona na końcu albo przekąsiła coś w biegu, albo i nie. Mimo że doba ma dwadzieścia cztery godziny, dla siebie na odpoczynek, na sen czasu było mało.

Zmieniła pracę - podjęła się pilnowania bydła nocą na pastwisku. Dzieci rosły zdrowo, a dobry Anioł Stróż czuwał nad nimi zawsze - nie wyrządzili sobie krzywdy.

Tak forsownego trybu życia nie wytrzymało jednak serce, poddał się kręgosłup, a spętane żyłakami nogi odmawiały posłuszeństwa. W wieku czterdziestu pięciu lat przeszła na rentę chorobową, najniższą w tamtym okresie – 330 zł. Na tej głodowej rencie dożyła do 55 lat i

wtedy dostała emeryturę, znów z najniższej półki.

Mąż nie wypracował emerytury. Od dzieciństwa ma chory kręgosłup. Uszkodził go w trakcie zabaw dziecięcych. Jeden lekarz zalecił operację, drugi przed nią przestrzegwał. Powiedział uczciwie, że może mu grozić wózek inwalidzki. Zrezygnował. Przepracował czternaście lat w PGR, potem przyznano mu rentę na... czternaście lat. Podjął jeszcze pracę stróża w zakładzie obróbki drewna. Po pięciu latach w zakładzie zatrudniono ochraniarzy. Został bez pracy. Z jednej emerytury żyją już osiem lat.

Po upadku PGR-u kupili dom, w którym mieszkali. I aż... cztery ary ziemi. Na

tyle uprawniały przepisy. To ich jednak nie załamało. Wzięli długoterminowy kredyt, dokupili hektar ziemi za cztery tysiące złotych, mały używany traktor do prac polowych, kupili krowę, kilka świń i mają wesołe podwórko, po którym dumnie przechadza się drób. Trójka dzieci założyła już rodziny. Doczekali się dziesięciorga zdrowych wnucząt. Synowie, póki co, mają jeszcze pracę, zięć już stracił, bo zakład ogłosił upadłość. Na utrzymaniu została żona i piątka dzieci.

Mimo przeciwności losu i kłopotów zdrowotnych nie poddają się. Ogródek przydomowy tonie w kwiatkach. Mają własne warzywa, ziemniaki owoce. Sieją trochę zboża na paszę dla trzody, drobiu i nadal bez przerwy pracują, bo tak trzeba. Zawsze odchowują cielęta po to by sprzedać dorosłą sztukę. Nie może zatem na zimę zabraknąć siana, brukwi, buraków. On karczuje każdy wolny zarośnięty krzewami kawałek ziemi przy zaniedbanych ogrodach, sieje trawę i ma zawsze smaczną dla odchowywanego bydła. Przy nich przytułek i miłoścy znajdują podrzucane psy i koty.

Prowadzą dom „otwarty” dla każdego, pełen życzliwości, zrozumienia. Zawsze w nim sporo dzieci. Najsmaczniej gotuje babcia i u niej najbardziej smakuje. Piecze jeszcze wspaniałe smakołyki. Serniki, jabłeczniczki - palce lizać. Rodzice zawsze chcą, dopóki nie zamkną oczu, pomagać dzieciom, wnukom. Oni też to robią. Codziennie trzeba pokonać znużenie, ból. Doraźnie pomagają leki, które zajmują pół półki w kredensie. Ale boli, że leczenie jest ograniczone barierą finansową. Trudny jest dostęp do specjalistów. Nie tracą jednak nadziei, że życie zmieni się na lepsze.

Eugenia Ananiewicz, Słupsk

mimo przeciwności losu nie poddają się

Echo kaszubskich pieśni o a

Dzieci zawsze czekały na nas z ciekawością. Kto to są ci Kaszubi? Co nam pokażą, jak mówią, jak śpiewają? My też mieliśmy za każdym razem tremę, nie wiedzieliśmy jak nas przyjmą, jak odbiorą to, co będziemy chcieli im przekazać.



Sztuka „akcji” – alternatywa

Każdy nie tyle robi swoje, co wszyscy robimy jedno - pełnimy służebną rolę wobec mieszkańców naszego Domu Pomocy Społecznej.

Doceniając wagę, przystępność i korzyści wynikające z zajęć rehabilitacyjnych w naszym Domu Pomocy Społecznej, uaktywniamy te formy zajęć wśród mieszkańców, które (wspomagane wiedzą pracowników) zacieśniają więzy współbycia, a korzyści dla podopiecznych i naszej satysfakcji zawodowej są niewątpliwe. Myślę tu przede wszystkim o rehabilitacji grupowej. Praca grupowa jest metodą, która pomaga radzić sobie bardziej efektywnie z osobistymi problemami. Nieskończona jest ilość sytuacji, w jakich możemy uaktywniać proces „powiększania”, czyli wzbogacenia podopiecznych, ale i siebie.

Zaproponowaliśmy mieszkańcom alternatywną formę terapii opartą na bazie programu: edukacja regionalna, terapia zajęciowa, rehabilitacja ruchowa, muzykoterapia, rehabilitacja społeczna. Każdy dzień tygodnia zdominowany jest przez jeden rodzaj terapii, przy aktywnej pomocy pozostałych terapeutów i opiekunów. Sekcją opiekuńczo-terapeutyczną kieruje pani Monika Bill (długoletni i doświadczony

pracownik Domu). Pozostali pracownicy to: rehabilitant p. Magdalena Kossacka - Boguszewicz, terapeuci zajęciowi - p. Jacek Rędzia (pasjonat fotografii) i p. Małgorzata Berdecka oraz niżej podpisany.

Zajęcia grupowe z mieszkańcami odbywają się codziennie, zwykle w godzinach 10.00 - 12.00. Pozostały czas naszej pracy to zajęcia indywidualne, rozpoznawanie i zaspokajanie potrzeb mieszkańców czy przygotowanie pomocy dydaktycznych uatrakcyjniających zajęcia, które zawsze są dostosowane do ich możliwości, ograniczeń i potrzeb.

Działając na rzecz osób z niepełnosprawnością możemy poszczycić się spektakularnymi sukcesami, nie tylko na miarę powiatu. Na przykład zespół naszych mieszkańców „Kaszubskie Echo” z powodzeniem konkuruje na „Liście Przebojów Ludowych” Radia Koszalin. Udowadniamy, że wszelki podział na pełno i niepełnosprawnych jest iluzoryczny i wątpliwy. W roku 2007 dotarliśmy do II miejsca na owej liście piosenką „Czyś ty babo zgłupiała?”, w



Wbijano się o szczyt Śnieżki

W naszej przygodzie ze śpiewem i muzyką odwiedziliśmy jako kapela „Zgoda” już wiele ciekawych miejsc w kraju. Spotkaliśmy na swej drodze tysiące ludzi, którym dawaliśmy swoje koncerty. Ale takiej przygody i spotkań, jakie mieliśmy okazję przeżyć w październiku ubiegłego roku, nie da się nigdy zapomnieć.

Co było w nich takiego szczególnie i niezwykłego? Niezwykle było już samo otoczenie, jakim okazały się nasze przepiękne góry Karkonosze. Obsypane pierwszym w tym roku śniegiem, malownicze, szczególnie wczesnym rankiem, kiedy słońce oświetla szczyty, niczym złocistą aureolą. Wokół - dostojne świerki obsypane białym puchem. Podziwialiśmy te widoki codziennie przez dwa tygodnie, jadąc na spotkania z dziećmi, do szkół podstawowych, gimnazjów i przedszkoli. Wstawialiśmy bardzo wcześnie rano. Wyjeżdżaliśmy przed wschodem słońca, żeby dojechać na godzinę ósmą do szkoły, czasem bardzo odległej od Jeleniej Góry, położonej gdzieś wysoko w górach.

Dzieci zawsze czekały na nas z ciekawością. Kto to są ci Kaszubi? Co nam pokażą, jak mówią, jak śpiewają? My też mieliśmy za każdym razem tremę, nie wiedzieliśmy jak nas przyjmą, jak odbiorą to, co będziemy chcieli im przekazać. Ale udało się, nawiązywaliśmy wspaniały kontakt z młodą widownią. Malowniczo przedstawialiśmy nasz region, opowiadając o Słowińskim Parku Narodowym, o pięknie ruchomych wydm, o bursztynach, plaży, o morzu.

Dzieci z dużym zainteresowaniem słuchały piosenek. Przedstawialiśmy nasz folklor kaszubski, prezentując piękne stroje, poezję w języku kaszubskim. Dzieciom i młodzieży szkolnej czytałam piękne utwory Waława Pomorskiego z Bytowa z tomiku „Kaszebsko Miłota”. Zdziwienie budziły instrumenty kaszubskie - „diabelskie skrzypce” czy „burczybas” z prawdziwym końskim ogonem. Opowiadałam o pięknie haftu kaszubskiego. Uczyliśmy dzieci „alfabetu”. Nie szło łatwo, ale kilka symboli odczytywały bezbłędnie.

Bardziej odważni chłopcy wymykali się

ze szkoły i odprowadzali nas do samochodu. Po drodze zadawali zaskakujące pytania. Po kilka razy pytali, czy naprawdę przyjechaliśmy do nich z Kaszub, z Pomorza?

Odwiedziliśmy szkoły w Kowarach, Karpaczu, Kamiennej Górze, Zgorzelcu, Bolesławcu. W ciągu dziesięciu dni daliśmy czterdzieści jeden koncertów! Był to prawdziwy maraton. Wdzięczny i pożyteczny!

Mniejsze dzieci na początku zwykle trochę bały się kaszubskiego diabełka, ale ta nieufność szybko mijała. Kaszubski diabełek szybko stawał się przyjacielem, z którym serdecznie się na koniec żegnały, głaszcząc go po brodzie i różkach.

Nie byłoby tych koncertów, gdyby nie zaproszenie Filharmonii Dolnośląskiej. Dlatego składamy wielki ukłon w stronę pracujących w niej ludzi. Do dyspozycji mieliśmy wygodny samochód, ciepłe i przytulne pokoje w hotelu. W wolnym czasie zwiedziliśmy świątynię „Wang” w Karpaczu, odwiedziliśmy piękne zabytkowe kościoły i pałace.

Henryka Jurałowicz – Kurzydło Słupsk

Ważna forma terapii

minionym roku zaś do IV miejsca piosenką „Oj, dana, dana”. Po cichu i retorycznie zadając sobie pytanie, czy nie jest to osiągnię-

cie na miarę większego formatu?

Innym rodzajem naszej pracy jest istniejący od roku klub poetycko - literacki „Spoza nas”. Biorą w nim udział mieszkańcy o zainteresowaniach humanistycznych. Wśród uznanych już i publikowanych poetów (nie)profesjonalnych są panowie Cezary Wosinek i Emil Pakulnicki. Ostatnio (grudzień 2008), w konkursie ogłoszonym przez Prezydenta Miasta Słupska - Artur Krużycki, Kazimierz Gwazda i Emil Pakulnicki zostali laureatami! Otrzymali wartościowe nagrody, które dopełniły satysfakcji tym bardziej, że zostały im wręczone osobiście przez prezydenta Macieja Kobylńskiego w zabytkowej sali Urzędu Miejskiego, w dodatku w świetle jupiterów.

Jeszcze inną istotną metodą naszej działalności jest metoda „w cztery oczy” polegająca na zaspo-

kajaniu potrzeb psychicznych i oczekiwań mieszkańców. Niektóre osoby wymagają częstych i systematycznych kontaktów oraz rozmów o charakterze wspierającym. Raz w miesiącu kontynuowane są spotkania grupy decyzyjnej reprezentowanej przez Radę Mieszkańców.

Oczywiste jest, że dla zapewnienia godnych warunków naszym podopiecznym w DPS pracują fachowcy o innych koniecznych specjalnościach: psycholog, psychiatra, lekarz pierwszego kontaktu, pielęgniarki, opiekunowie, pracownicy socjalni, gospodarczy, pokojowe - słowem liczna grupa osób równie zaangażowanych, których w tym artykule nie sposób wymienić personalnie. Każdy nie tyle robi swoje, co wszyscy robimy jedno - pełnimy służebną rolę wobec mieszkańców naszego domu.

Komfortowe warunki socjalne, medyczne i rehabilitacyjne (także rodzinna atmosfera) powodują, że wydłuża się liczba osób oczekujących do zamieszkania w DPS. Jest to niewątpliwym sukcesem współtwórcy i dyrektora - pani Marianny Kawieckiej. Jakiś nie wyartykułowany do końca, choć powszechny szacunek - z jakim postrzegana jest pani Marianna Kawiecka - nas pracowników mobilizuje do sumiennej pracy, ku obopólnej satysfakcji.

**Klemens Rudowski
Dom Pomocy Społecznej
w Lubuczewie**



Swego czasu lotniskowce dość nagle zajęły pierwsze miejsce na liście moich ulubionych okrętów. Historia tych najpotężniejszych dziś jednostek bojowych, na których pokładach bazują grupy lotnicze, silniejsze od sił powietrznych niejednego państwa, zaczęła się niemal sto lat temu od dwóch nie lada wyczynów pewnego lotnika-akrobata...

Eugene B. Ely urodził się 21 października 1886 roku w Davenport w stanie Iowa (USA). W 1904 roku, po ukończeniu nauki na Uniwersytecie Stanowym Iowa, przeprowadził się do San Francisco w Kalifornii, gdzie pracował w raczkującym wówczas przemyśle samochodowym, jako sprze-

wisko wówczas nowe - aeroplan (zwany dziś „samolotem”) Curtissa, który następnie odbudował i sam nauczył się go pilotować. Szło mu to tak dobrze, że po kilku miesiącach został pilotem-akrobatą, co wydawało mu się zajęciem wystarczająco zyskowym, by mógł z niego żyć. W czerwcu

małci w Belmont Park (New York), Ely spotkał szefa będącego wówczas w powijakach lotnictwa US Navy, kmdra Washingtona I. Chambersa. W rezultacie młody akrobata powietrzny wszedł do historii flot świata, dokonując w odstępie dwóch miesięcy najważniejszych wyczynów na początku dzie-

napotkał aeroplan, który go zafascynował

Zapomniany Ikar dwudziestego wieku

dawca, mechanik i kierowca („normalny” i rajdowy). W 1907 Ely ożenił się z panną Mabel Hall, pochodzącą z Corte Madera w Kalifornii. Odtąd Mabel miała wspierać Eugene’a w jego – krótkiej, niestety – karierze powietrznego akrobata, jako menedżer i ktoś w rodzaju prasowego rzeczownika.

Romans z lotnictwem, nazywanym wówczas jeszcze „awiacją”, zaczął się dla Eugene’a na początku roku 1910, po kolejnej przeprowadzce do Portland w Oregonie, gdzie miał dalej pracować w przemyśle motoryzacyjnym. Tam jednak napotkał zja-

1910 roku wystąpił ze swą maszyną m. in. w Winnipeg (stolicy kanadyjskiej Manitoby) i Minneapolis w amerykańskim stanie Minnesota. Tam spotkał pioniera „awiacji”, samego Glenna Curtissa. Ten, poznawszy się prędko na zdołnościach Ely, zaangażował go do swego zespołu pilotów.

W następnych miesiącach Ely dużo podróżował po całej wschodniej części USA, pokazując niezliczonym widzom, co potrafi dobrze pilotowany aeroplan. W drugiej połowie października, podczas międzynarodowego spotkania „awiatorów” wszelkiej

jów powietrznego ramienia morskiej potęgi: pierwszego startu i pierwszego lądowania na pokładzie wojennego okrętu.

Pierwsze z tych dwóch znaczących wydarzeń miało miejsce 14 listopada 1910 roku, na Hampton Roads (Virginia): lotnik wystartował z prowizorycznej platformy, zainstalowanej ponad dziobową częścią tzw. scout-cruisera Birmingham. W dwa miesiące później, 18 stycznia 1911 roku, kończąc jeden ze swoich pokazów w San Francisco, Ely wylądował swoim samolotem na pokładzie krążownika pancernego Pennsylvania.

Aspekt religijny w dawnym

Znane są w Polsce miejsca, w których doszło do „cudownego” wyzdrowienia zwierząt. Należy do nich wspomniany klasztor w Woźnikach. W Krakowskim znajduje się figura Chrystusa trzymającego na ręku jagnię ze złamaną nogą. Pod figurą jest napis, że postawiła ją ludność jako dziękczynienie za uratowanie zwierząt przed zarazą.

Badając dawną weterynarię ludową stwierdzamy, że nasi przodkowie w leczeniu zwierząt stosowali zarówno środki i metody racjonalne, jak i nieracjonalne (wierzenia i zabobony), a niekiedy oba sposoby łącznie. Lecznictwem zwierząt zajmowali się przede wszystkim opiekunowie zwierząt – pasterze, w okresie późniejszym pramedycy. Działania irracjonalne opierały się na wierze w dawne bóstwa, zabobony itp. Wierzenia te były związane z określonymi kręgami kulturowymi. Przykładem z czasów starożytnej Grecji jest mityczny cen-

taur Chejron czczony jako bóg, który zajmował się leczeniem, oraz Hermes – bóg bydła i pasterzy. W dawnej słowiańskiej mitologii motyw lecznictwa irracjonalnego związany był z ówczesnym kultem słowiańskim. Starożytni Słowianie czcili wielu bogów, wśród nich znajdujemy takich jak: Pogoda – dawca dobrego powietrza, Żywie – bóg życia, Wołos – bóg bydła. Danię, którą ofiarowywano bogom stanowiły konie. Z chwilą przyjęcia chrześcijaństwa Słowianie przejmują również kulturę chrześcijańską, która stała się jednym z głów-

nych źródeł kultury europejskiej. W okresie przejściowym stare zwyczaje pogańskie łączono z nowymi chrześcijańskimi. Przykładem w sferze hodowli – weterynaryjnej może być Własa – Błazej, będący rusko – chrześcijańskim patronem bydła, inaczej zwany „wielkim strażnikiem wołów – bukolos”. Do XVIII wieku w Europie dominował w lecznictwie ludowym zarówno ludzi, jak i zwierząt element irracjonalizmu, głównie dlatego, że zajmowanie się lecznictwem było już w starożytności zaliczane do prac fizycznych, uważanych za poniżające nie-

Po krótkiej wizycie na pokładzie tego okrętu pilot-akrobata odleciał na ląd.

W pierwszej połowie 1911 roku Ely ciężko pracował, latając na licznych pokazach w zachodniej części Stanów. Lotnik wstąpił m. in. do California National Guard, w barwach której wykonał szereg historycznych, rzecz można, inauguracyjnych wypraw powietrznych w dziejach wojskowego lotnictwa i pracował jako doradca Gubernatora Kalifornii d/s „awiacji”. W lipcu 1911 roku powrócił na Wschód, gdzie wziął udział w kilku kolejnych pokazach powietrznych. W dniu 19 października 1911 niespełna 25-letni Eugene B. Ely zginął w katastrofie pilotowanej przez siebie maszyny podczas pokazu w Macon (Georgia). Swoimi wcześniejszymi wyczynami (w tym pierwszymi lotami dla Marynarki Wojennej) zapewnił sobie trwałe miejsce w historii „awiacji”. W 1933 roku, w uznaniu położonych dla lotnictwa zasług, otrzymał pośmiertnie Distinguished Flying Cross.

Pora, by na stulecie lotniskowców przywrócono światu Eugene'a B. Ely – nieco zapomnianego Ikara Dwudziestego Wieku, najpierwszego z Pionierów pływających lotnisk – nazywając wreszcie Jego imieniem „atomowy” (lub normalny) lotniskowiec. Rzetelnie na to zasłużył!!! W dniu 19 października 2011 roku minie setna rocznica jego śmierci.

Najfajniejsze jest to, że nie za bardzo wiadomo, jak należy wymawiać nazwisko pana „Ikara XX wieku”: jedni mówią na niego „Ili” (z akcentem na pierwsze I), a inni – „Ilaj” (z akcentem na to „aj” na końcu). Tak to

bywa z Janekami. Strasznie mi żal pana Ely, bo przeżył ledwie niecałe 25 lat, ale przeżył je bardzo intensywnie. I naprawdę byłoby fair ze strony pana Baracka H. Obamy, gdyby zamiast „jakiegoś Forda” burtę CVN 78 ozdobiło - bardzo ładne, jako nazwa! - imię latającego „Judżina” (Eugene'a): USS EUGENE B ELY (CVN78). Wygląda to super, prawda? Świerzbi mnie łapka, żeby napisać i Wam to, co wysłałem Ambasadzie USA, to jest, że nie wybieram się wcale do Ameryki, bo a) Stany przewracają ludziom w głowach i b) samolotem to nie to (do Stanów powinno się płynąć starym szlakiem!).

Nazwałem w moim liście cokolwiek dziwnym „ichni” zwyczaj nazywania lotniskowców imionami Prezydentów Unii, bo z tych 42 czy 43 facetów, którzy dotąd sprawowali ten dość niebezpieczny dla życia (zob. np. Lincoln, McKinley czy JFK!) urząd - tylko TRZECH zasłużyło sobie na ten honor. Byli to obaj Rooseveltowie i starszy pan Bush (ostatni Prezydent, który czynnie uczestniczył w II wojnie światowej na Pacyfiku, i to latając pokładowym samolotem z lotniskowca!). Na młodszego pana Roosevelta jestem osobiście wściekły za parę jego ciemnych sprawek, a zwłaszcza za zatwierdzenie niehonorowego morderstwa na osobie adm. I. Yamamoto (1859-1943): to coś, czym Amerykanie do dziś dnia tak się szczycą - było nie na miejscu.

Zupełnie nie pojmuję, dlaczego patronami lotniskowców zostali panowie Kennedy, Eisenhower i Truman. Ten pierwszy był co prawda bohaterem wojny na Pacyfiku, ale, na Boga, on tylko uratował załogę torpedo-

wego ścigacza! Dwaj pozostali byli średnimi prezydentami, a Eisenhower był na dodatek oficerem sił lądowych, a nie Marynarki! Truman, wątpliwie wsławiony zbombardowaniem atomowymi bombami dwóch Bogu ducha winnych japońskich miast, „podebrał był” okręt samym Stanom Zjednoczonym. Dokładnie tak - bo CVN75 miał otrzymać uprzednio imię USS UNITED STATES... Ronald W. Reagan został wprawdzie pierwszym prezydentem Unii, który za życia został patronem lotniskowca, ale podejrzewam, że jako aktor filmowy z zawodu - wiedział o tych okrętach niewiele. Może i mógł improwizować przed mikrofonem podczas transmisji meczu footballowego, ale akurat o lotniskowcach to raczej ja mógłbym mu poopowiadać to i owo!

A w ogóle, to z tymi prezydentami Unii jest tu u nas za dużo hałasu. Niektórzy bowiem z nich to byli ludzie prości, którzy nie uznali za stosowne nauczyć się czytać! To już nasi prezydenci byli lepsi, bo nawet pan Kaczyński (zdecydowanie chyba najgorszy ze wszystkich Prezydentów RP) jednak chodził w młodości do jakiejś szkoły i czytać go tam nauczyli. Ale co się dziwić Amerykanom - przecież to jest de facto wciąż zbieranina bez korzeni, bez historii, bez tradycji i jeszcze długo bez prawa do nazwy „narodu”: przecież tu, w Słupsku lada kościółek potrafi być trzy i pół razy starszy od tych ich całych Stanów, o Polsce już nie mówiąc!...

W chwilach złości jestem wściekły na pana Pułaskiego (nb. Patrona „atomowego” okrętu podwodnego USN), że pojechał akurat do Ameryki, a nie na przykład do Chin.

Wojciech M. Wachniewski, Słupsk

lecznictwie ludowym zwierząt



godne wolnych obywateli.

Rozwijające się chrześcijaństwo wprowadza od samego początku kult świętych – ludzi wyróżniających się mocą nawiązania bliższego kontaktu z Bogiem, a także pracowitością i zasługami dla dobra kościoła i ludu. Starożytność chrześcijańska wylicza mnóstwo postaci, którym Kościół nadawał zaszczytny tytuł świętych i których cześć nadal toleruje. Do XIII wieku wiadomości o świętych przekazywano w formie opowiadań i legend, które spisał J. de Woragine. Lud wprowadził pojęcie świętego patrona (opiekuna) na potrzeby różnych okoliczności, przypisując każdemu świętemu

dzień w kalendarzu – dies natalis – szczęśliwy dzień urodzenia. Według przewodnika onomastycznego – hagiograficznego „Twoje imię” dies natalis stał się u chrześcijan technicznym określeniem rocznicy śmierci męczennika, którą w perspektywie swego światopoglądu uważali za wydarzenie stokroć ważniejsze, pojmując ją jako wyzwolenie z więzów doczesności i narodzin dla nowej, szczęśliwej rzeczywistości.

Pierwsze kanonizowanie świętego przez Papieża odbyło się 993 roku. Pierwsze zestawienie świętych wg dies natalis ukazało się w 1584 roku, a ostatnie w 1970. Rozwój cywilizacji, w tym rzemiosła i nauki powodował, że zawodowe grupy organizowały się w cechy, związki, a te obierały sobie świętych patronów – opiekunów cechu. Najczęściej był nim święty, który wg legendy lub podań zajmował się podobnym zajęciem – np. św. Łukasz Ewangelista jest świętym patronem lekarzy, święci Kosma i Damian – aptekarzy, św. Łydzor rolników. Brak jest świętego patrona weterynarzy prawdo-

podobnie dlatego, że nigdy nie było cechu rzemieślniczego, weterynaryjnego. Istnieją jednak liczni święci związani fragmentarycznie z weterynarią. Poczesne miejsce wśród nich zajmuje św. Franciszek z Asyżu uznawany powszechnie za patrona i miłośnika zwierząt. Święty ten jako pierwszy głosił, że zwierzęta są naszymi braćmi. Z inspiracji towarzystw ochrony i miłośników zwierząt obchodzony był w wielu krajach dzień 4 października 1982 roku jako światowy Dzień Ochrony Zwierząt. W dniu tym przypadała bowiem 800-letnia rocznica urodzin św. Franciszka. Kolberg podaje, że klasztor OO. Franciszkanów w Woźnikach (poznańskie) słynął jako „cudowne miejsce, gdzie nawet uzdrowieniu ulegały konie”. Istnieją także święci -opiekunowie poszczególnych gatunków zwierząt domowych, a także święci chroniący przed zarazami. Św. Benon (16.06) uważany jest za opiekuna bydła. W Polsce wg Kolberga w miejscowości Bzowo (poznańskie) znajdowała się figura św. Benona, który „ochroniał bydło od chorób, które to samo, gdy je pędzono, stawało uporczywie przed tą figurą tak, że skotarz z trudnością tylko mógł je stamtąd odegnąć”. Za opiekuna trzody chlewnej uważany jest św. Antonii – pustelnik (17.01). Przedstawiany on jest na średniowiecznych malowidłach w towarzystwie świni. We Włoszech jeszcze obecnie odbywają się wielkie uroczystości z poświęceniem zwierząt domowych. Za opiekunów koni, którzy chronili je przed zarazami uważano św. św. Lenarta (6.11.), Leonarda (30.03.), Florusa (17.11.),

Wawrzyńca (5.09.), Piotra Chryzologa, Błażeja (3.02), Filipa (11.04.), Jakuba (3.04.), Sebastiana (20.01.), Adriana (5.03.), Rozalię (4.08.) oraz Rocha (16.08.). W XIX wieku Kolberg odnotował, że na Mazowszu „dziś kiedy już ta zaraza minęła i między ludem nie grasuje i tylko bydłęca się pojawia, lud wielki zwyczaj prowadzić w dzień św. Rocha bydło swoje przed Kościół i tam je kapłan błogosławi”. Opisuje także zwyczaj, że w „dzień św. Rocha rozpalają ogień i na drodze pod wsią przepędzają przezeń bydło po trzykroć. Po przepędzeniu bydła biorą po węgliku żarzącym się do chałup, który tam aż do wygaśnięcia zachowują”.

Olędzki opisuje współczesne zwyczaje związane ze św. Rochem i św. Walentym na Kurpiach i Mazowszu. Zachował się tam do dziś zwyczaj składania tym świętym ofiary wotywniej. Dawniej zwyczaj ten występował także na Śląsku oraz w byłych powiatach: Nowy Targ, Bochnia, Brzozów, Leżajsk, Lubaczów, Maków Mazowiecki. Znany on jest także w wielu krajach Europy i najczęściej łączony tam z kultem św. Leonarda. W dniu tym chłopcy modlą się w kościele do świętego przedstawiają mu symbole swych pragnień w postaci kutych w żelazie wotów. Bogatsi przedstawiali wota wykonane ze złota lub srebra, a bardzo biedni z wosku. W Polsce znane są figurki wotywnie z żelaza i wosku. Zwyczaj ten chrześcijaństwo zapożyczyło ze świata antycznego oraz judaizmu. Pojawił się on już III wieku, a rozwinął w VI-X wieku w związku z kultem św. Leonarda. Rytuał symbo-

licznej ofiary prośbalnej ze składaniem wotów o darzenie się hodowli żywego inwentarza łączy się ze święceniem i okadzaniem bydła i koni, którym to rozpoczyna się uroczystość odpustowa w Brodach Wielkich.



Tam, gdzie jest park podworski

Dwóch pijanych Rosjan zadało śmiertelne rany jednemu z mieszkańców Sycewic. W innej rodzinie 19 marca zastrzelili ojca i córkę, ponieważ nie chciał oddać jej żonierzom. Tragiczny los spotkał również rodzinę wójta, zwłoki czwórki dorosłych osób z tej rodziny i czwórki dzieci znaleziono powieszzone w mieszkaniu w jednym rzędzie.

Nazwa wsi Sycevice pochodzi od nazwy osobowej Syc lub Szyc, z niemieckiego Zitzewitz. Na przestrzeni wieków spotykamy takie oto nazwy tej miejscowości: Siczowice (1347), Cztzewitz (1357), Setzewicze (1399), Zitzewitz (1485), Zitzewitz (1568). Wieś należała do dóbr lennych rodu Zitzewitz.

Pierwszym właścicielem od roku 1410 był Peter Zitzewitz, do którego należało również Kusowo. W 1585 roku Georg Zitzewitz zapoczątkował podział rodziny na dwie linie i został protoplastą drugiej gałęzi oraz dokonał podziału dóbr na części A i B, które do roku 1945 pozostały w rękach Zitzewitzów.

W dokumentach jako właścicieli wymieniano porucznika Clausa von Zitzewitz, Jürgena v. Zitzewitz – dziedziczącego dobra oraz kapitana Jacoba Jürgena v. Zitzewitz.

Wg Brüggemanna w 1784 roku majątek Sycevice składał się z dwóch folwarków, dziewięciu rolników i trzech kosetów. Dane te można uzupełnić, korzystając z opracowania K. H. Pagela, który podaje, że była tu ponadto kuźnia, karczma, budynek szkolny, trzech właścicieli domów bez gruntu oraz 25 kominów.

Jednym z najznajmniejszych członków rodu był Wilhelm von Zitzewitz. Studiował on rolnictwo, a poczynając od 1862 roku zaczął Sycevice urbanizować. Ponadto powiększał majątek i dbał o siedzibę rodu. W 1834 kupił Cecenowo oraz Dargolezę (miejscowości położone w gminie Głównicy). W 1871 dokupił jeszcze od kapitana Valeriana v. Belowa Gać oraz część Nosalina. W 1901 roku z dóbr posiadanych w pobliżu majątku rodzowego, tj. Sycewic,

Po mszy wierni wybierają figurki zwierząt, o dobro których będą się modlić oraz święcę, następnie udają się na obchód ołtarza głównego i modlą się do św. Rocha. Figurki wotywnie przedstawiają bydło, konie, owce, trzodę chlewną, pszczoły, a nawet psa.

Znane są w Polsce miejsca, w których doszło do „cudownego” wyzdrowienia zwierząt. Należy do nich wspomniany klasztor w Woźnikach. W Krakowskim znajduje się figura Chrystusa trzymającego na ręku jagnię ze złamaną nogą. Pod figurą jest napis, że postawiła ją ludność jako dziękczynienie za uratowanie zwierząt przed zarazą. W Radomskim jednym z najskuteczniejszych „leków” była woda ze źródła pod wsią Karwowo, gdzie mieszkał św. Wincenty Kadłubek. Spis cudów dokonanych przez Matkę Boską z obrazu w Piękoszowie w latach 1705-1720, zawiera między innymi „ochronę i wyzdrowienie bydła i koni od moru i chorób”.

Znane są przypadki używania różnych insygniów kościelnych do zwalczania chorób zwierzęcych. Perenc podaje, że w XV wieku zakopywano w obrębie gospodarstwa, gdzie były bydłeta „scharowane” krzyż metalowy św. Benedykta (11.03.), na którym były umieszczone pierwsze litery łacińskich wyrazów wypędzających szatana. Na Kaszubach wierzono, że najlepszym lekarstwem przeciwko cholercie drobiu jest odczytanie nad pisklętami Ewangelii wg św. Jana. Powszechny był zwyczaj podawania zwierzętom w Wigilię Bożego Narodzenia chleba i soli, które święcono w dzień

św. Agaty. Jeszcze obecnie można w Polsce spotkać zwyczaj skrapiania wodą święconą bydła wypędzanego pierwszy raz wiosną na pastwisko. Większość ziół używanych jako lekarstwa podawano kościelnemu obrzędowi święcenia wodą, najczęściej w święto Matki Boskiej Zielnej, następnie robiono z nich wywar lub okadzano chore zwierzęta dymem z palonych suszonych ziół. W Poznańskim wizerunki świętych, a także różne przybory liturgiczne miały leczyć i odganiać choroby zwierząt. Jak podaje Kolberg „w czasie epidemii owczej stuła kościelną owce pocierają i święconą kredą mur owczarni wokoło orysują, kobiet do tej owczarni nie wpuszczają”. Ludowe formuły „zamawiania chorób” lub „odczyniania” uroków zalecały czynienie znaków krzyża z wymawianiem „W imię Ojca i Syn i Ducha Świętego, Amen”. W Kieleckim wg Kolberga odnotowano następujący sposób na powodzenie w pasiece: „aby pszczoły nie spadły z ula, potrzeba iść do spowiedzi przystąpić do komunii świętej, komunikatu nie połykać, ale go wyjąć z ust, a za przybyciem do domu włożyć do ula”. Lud cenił także św. Mikołaja, który był powszechnie uznawany za patrona pasterzy – owczarzy, chronił on stada przed wilkami, a także rybaków na Kaszubach. Szczególne duże znaczenie św. Mikołaja odnotował Kolberg w Polsce południowo-wschodniej. Za patrona pasieczników – pszczelarzy uważany jest św. Ambroży, natomiast patronem podkuwaczy – kowali, jest św. Jan Chrzciciel. Suma wiedzy i praktyki ówczesnych

owczarzy, podkuwaczy i pasieczników stanowiła jedną z pierwszych podstaw wiedzy weterynaryjnej. Rosyjska Cerkiew Prawosławna poleca w chorobach i zarazach ludzi i zwierząt modlitwy i wodę ze źródła św. Serafima Sarowskiego (12.07.).

Przedstawione informacje z punktu widzenia naukowego można uważać za irracjonalne, ale błędem byłoby uważać je za wstydlive lub pogardliwe. Wierzenia i praktyki religijne ludu były wówczas jedynym środkiem walki z nieznanymi mu siłami przyrody, wobec których był bezsilny. Bogactwo ich form świadczy o bogatym życiu duchowym ludu i jego stosunku do religii, co w efekcie spowodowało zmianę stosunku do zwierząt. Człowiek pierwotny zwierzę tylko zabijał, głównie dla pokarmu, później po udomowieniu przywiązywał się do niego, dziś mamy do czynienia niekiedy nawet z fanatyczną miłością do psów i kotów. Religia nakazywała „nie czynić drugiemu, co tobie niemiłe”. Św. Franciszek odniósł to także do zwierząt. Również zasada, że „wszystko co otacza człowieka, jest stworzone przez Boga”, nakazywała zaprzestania znęcania się także nad zwierzętami – „bo to wszystko jest dar boży”. Znane przysłowie głosi: Tylko wiara czyni cuda.

Legendarne działania niektórych świętych Kościoła nakazywały pomagać zwierzętom, co w efekcie zrodziło tzw. humanitarne traktowanie zwierząt.

dr med. wet. Stanisław Jank
Radny Rady Powiatu Słupskiego

Fot. Archiwum autora

Znane są miejsca, w których doszło do „cudownego” wyzdrowienia zwierząt

ki i była ferma „tysiąca krów”

Gaci oraz części Nosalina, stworzył majorat, na podstawie którego wymienione dobra niepodlegające podziałowi mógł dziedziczyć najstarszy syn. W 1900 roku odbyły się okolicznościowe obchody 600-lecia istnienia rodu, a w 1909 Wilhelm v. Zitzewitz otrzymał od króla pruskiego tytuł szlachecki. Po jego śmierci w 1925 roku majątek przeszedł we władanie syna Heinricha. Odbudował on wystawiony w 1905 roku pałac i założył okazały park.

Już w 1934 roku wieś skanalizowano i położono wspaniałą nawierzchnię głównej drogi. W 1938 w skład rodowych dóbr wchodziło łącznie 934 ha ziemi, w tym było 505 ha użytków rolnych, 84 ha łąk, 53 ha pastwisk, aż 245 ha lasów, 3 ha wód i 44 ha nieużytków. Pogłowie zwierząt liczyło 52 konie, 170 sztuk bydła, 313 owiec i 40 świń. Gospodarka była prowadzona bardzo fachowo, w jej całokształcie dużą rolę odgrywały owczarnia, stadnina koni oraz gorzelnia produkująca spirytus z ziemniaków i żyta, która należała do największych i najnowocześniejszych w okolicy. W Sycewicach była także Kasa Zapomogowo-Pożyczkowa, gospoda, młyn Puttkamerów, kuźnia Franza Mielka, przedsiębiorstwo utylizacji odpadów zwierzęcych. Siodlarstwem zajmował się F. Schlawin, szewstwem R. Garbe i O. Schuweckow, kołodziejstwem O. Damaschke, a handlem bydłem Heyer Klatt i Pamplum.

Wszyscy mieszkańcy Sycewic byli ewangelikami i należeli do parafii w Zębowie. Od bardzo wczesnych lat w majątku prowadzono działalność oświatową. Pierwsza szkoła zaczęła funkcjonować już w 1818 roku, naukę pobierało w niej 16 uczniów. W roku 1862 oddano nowy budynek szkoły, zaś w 1912 powstał jeszcze jeden. Szkoła zlokalizowana była pośrodku wsi, opodal drogi Słupsk – Sławno. Uczniów rokrocznie przybywało: w 1830 roku było ich 30, w 1846 już 67. Patronat nad szkołą sprawował właściciel majątku, on też wybierał nauczycieli, a uczyli tu m. in. Eduard Selke (do 1928 r.), Richard Neubuser (1928-1930), do roku 1945 Otto Bausemer.

Sycewice składają się z dwóch zasadniczych części: zespołu folwarcznego, zajmującego północno-wschodnią część wsi i zlokalizowanego na zakończeniu wewnętrznej drogi wiejskiej, oraz z właściwej zabudowy wiejskiej, która leży poza zespołem folwarcznym po obu stronach drogi do Sławna. Zespół folwarczny od strony północnej ograniczony jest polami uprawnymi, od strony zachodniej zabudową wiejską, a od wschodniej i południowej rozległym parkiem, wyłączonym poza teren zespołu. Składa się z dwóch części podzielonych wtórnie ogrodzeniami: zespołu gospodarczego położonego w zachodniej części założenia oraz zespołu pałacowo-parkowego. Park przetrwał do dzisiaj w stanie szczątkowym, pałac, który znajdował się w części południowo-wschodniej i wschodniej, niestety nie.

Powstanie pierwotne parku datuje się na 1850 rok. Założono go w stylu krajo-brazowym, jednak najstarsze zadrzewienie pochodzi z lat 1770-1790. Pierwsze drzewa

posadzono na granicach spalonej siedziby oraz przy drogach dochodzących do majątku, kiedy jeszcze właścicielem dóbr był Jacob Ernst. v. Zitzewitz. Tworząc park krajobrazowy, założono aleję wjazdową wysadzoną jesionami, wykopano także dwa duże stawy. Podstawowymi elementami ówczesnego założenia parkowego były otwarte polany z kulisowymi zadrzewieniami na głównej, wschodnio-zachodniej kompozycji (wjazd – pałac – widok na równinę łąkową). W latach 1880–1890 zmodernizowano park, poddając jego teren przekształceniom oraz wprowadzając elementy rustykalne. Drzewostan przy stawach w otoczeniu pałacu wzbogacono o ozdobne, egzotyczne gatunki drzew: skrzydłoorzech kaukaski, klon, jesion listny i cukrowy, wiąz zwisty oraz świerk kłujący. Krajobrazowo sentymentalny park stał się w ten sposób oprawą rezydencji rodowej i znakomicie pełnił funkcje reprezentacyjne oraz użytkowe. W okresie międzywojennym Heinrich v. Zitzewitz prowadził w stawach hodowlę ryb, na terenie parku założył zwierzyńiec, w którym trzymano sarny, oraz wyposażano park w liczne urządzenia służące do zabawy i wypoczynku. Były tu ławeczki, altanki, polanki zabaw dla dzieci, a także kręgielnia. Około 1920 roku przy alei wjazdowej, koło dużego stawu, wystawiono pomnik – tablicę ku czci poległych w pierwszej wojnie światowej. Część parku zajmował sad i ogrody warzywne. Całość była ogrodzona.

Majątek po upaństwowieniu przejął PGR. Teren parku został wydzielony od zabudowań gospodarstwa, ale mimo to stopniowo zatracił swoje przeznaczenie i uległ zniszczeniu. Był dostępny dla mieszkańców Sycewic, ale korzystanie z jego części utrudniała wybudowana w 1975 roku oczyszczalnia, z której zresztą jedynie częściowo

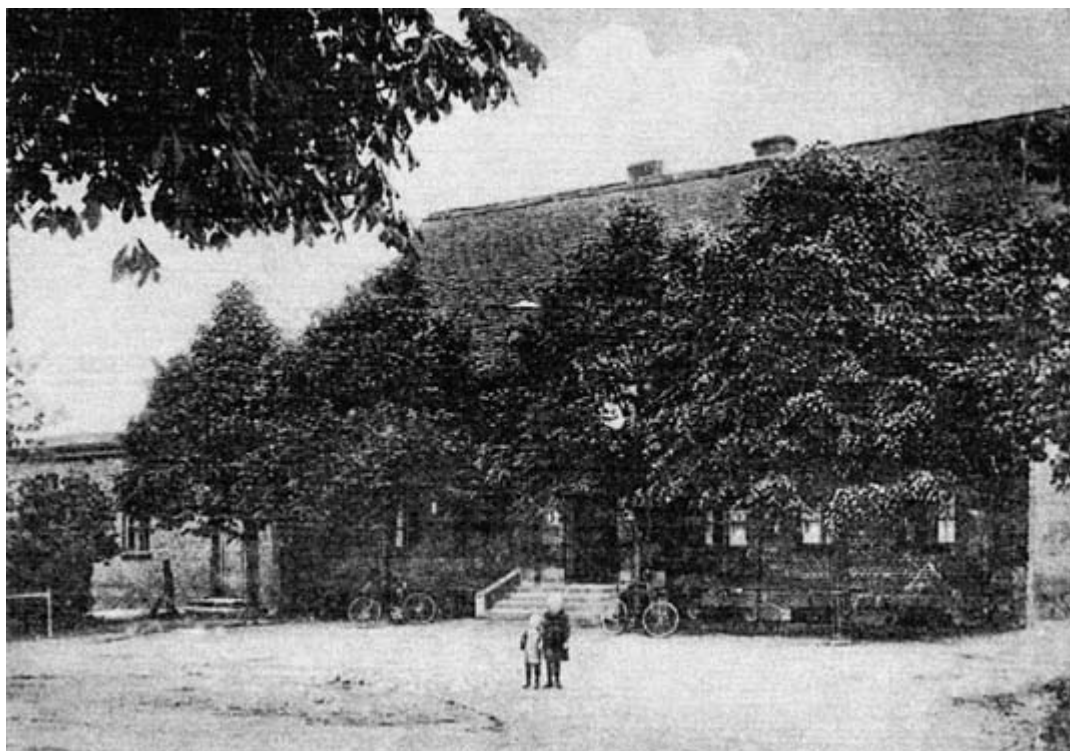
oczyszczone ścieki odprowadzano do otwartych rowów melioracyjnych, powodując zanieczyszczenie środowiska i przenawożenie gleby. Pocięcie układu założenia parkowego dodatkowo powodowało powstawanie cuchnących mokradeł oraz usychanie drzew i krzewów. Na skutek melioracji przylegających do parku łąk obniżył się ponadto poziom wód gruntowych, co w konsekwencji przyczyniło się do zanikania i zarastania stawów. Negatywnie oddziaływały na florę i estetykę obiektu, zlokalizowany przy alei lipowej na północ od ruin pałacu, zlikwidowany już magazyn paliw PGR-u, oraz rurociągi ciepłownicze. W części wschodniej park zarastał samosiewami drzewek. W drugiej połowie lat 70. ubiegłego stulecia wykonano jednak w części wjazdowej prace renowacyjne, przystosowując ją do rekreacji dla mieszkańców wsi. Równocześnie jednak dokonywano wycinek pojedynczych drzew.

Powierzchnię 30-hektarowego parku podzielono na dwóch właścicieli prawnych. Większość z łąkami należała do Kombinatu PGR Sycevice, a 7,44 ha kompleksu leśnego o cechach parkowych włączono do administracji lasów państwowych, należą do Nadleśnictwa Ustka.



Park podworski w Sycewicach jest dużą grupą zieleni wysokiej, doskonale widocznej z trasy kolejowej, a w stosunku do trasy kołowej stanowi tło osiedla mieszkaniowego. Na równinnym terenie wsi zespół zadrzewień wzbogaca krajobraz. Mimo zniszczeń zachował się, za wyjątkiem pałacu, bez zasadniczego uszczerbku powierzchniowego. Kompletnie zachował się park leśny z całym drzewostanem i układem dróg, chociaż jeszcze w latach 80. i na początku 90. systematycznie wywożono do części leśnej śmieci, gruz i odpady produkcyjne z PGR-u oraz osiedla mieszkaniowego. Czytelna pozostała również i dobrze zachowała się kompozycja parku jako całości, ale niewątpliwie niekorzystne zmiany przyniosło pozbawienie założenia architektury ogrodowej, zdeprecjonowanie funkcji użytkowej i reprezentacyjnej, rozebranie ogrodzenia.

Pierwszy - nieczynny cmentarz ewangelicki pochodzi z przełomu XIX/XX w. i leży kilometr od wsi w kierunku zachodnim przy polnej



Fot. Archiwum autora



dawnych czasach wśród miejscowych i podróżnych modne były gospody. Jedną z nich zachowała się do dziś. Wybudowana została w drugiej połowie XIX w. W 1939 roku jej właścicielem był Erich Tosch. Lokalizacja gospody nie była przypadkowa, gdyż w tej właśnie miejscowości przed wojną funkcjonowała jedna z największych gorzelni w okolicy. Na przełomie XIX i XX wieku przy nowych stacjach zaczęto wznosić budynki kolejowe. Typowe obiekty stacyjne możemy zobaczyć w Kobylnicy, Reblinie (z 1906 r.), Słonowicach (z 1910 r.) i Sycewicach (z 1860 r.). Obiekty te wprowadzone zostały do ewidencji konserwatora zabytków, lecz nie są one ani unikatowe, ani bardzo wartościowe kulturowo, mimo to tworzą określony klimat i dokumentują tradycję.

Tuż po wkroczeniu Armii Czerwonej w marcu 1945 roku życie codzienne

mieszkańców Pomorza podporządkowane zostało regułom ustanowionym przez radzieckie komendantury, które tworzone zachowując w zasadzie niemiecki podział administracyjny. Jednym z zadań komendantury wojennej było zabezpieczenie polniemieckiego mienia, w praktyce Rosjanie traktowali je jako należny im łup wojenny, natomiast represjom i gwałtom towarzyszyły świadome bądź przypadkowe podpalenia. To nie kto inny jak pijani Rosjanie, przez przypadek, od niedopałków papierosów spalili okazały pałac Zitzewitzów w Sycewicach. Do tego dochodziły egzekucje. Z opisów Pagela dowiadujemy się, iż dwóch pijanych Rosjan zadało śmiertelne rany jednemu z mieszkańców Sycewic. W innej rodzinie 19 marca zastrzelili ojca i córkę, ponieważ nie chciał oddać jej żołnierzom. Tragiczny los spotkał również rodzinę wójta, zwłoki czwórki dorosłych osób z tej rodziny i czwórki dzieci znalezione powieszono w mieszkaniu w jednym rzędzie.

Zarówno przed II wojną światową, jak i po jej zakończeniu w Sycewicach znajdowała się siedziba gminy. Ze zdekompletowanych akt przekazanych do Archiwum Państwowego w Słupsku trudno wymienić szefów gminnych pierwszego, powojennego dziesięciolecia, ale wiadomo, że w latach 1954–1967 przewodniczącymi Gminnej Rady Narodowej w Sycewicach byli: Bronisław Błachna (1954–1955), Tadeusz Pastwa (1955–1956), Stanisław

Krawczyk (1956–1957?), Edward Przepiórka (1958–1961?), Zygmunt Jędrzejczyk (1961?), Stefan Sypniewski (1962–1964), Jan Rokita (1964–1965), Henryka Łotocka (1965–1967) i Ryszard Szumacher (1967). Od początku 1968 roku Sycevice należą do gminy Kobylnica.

W powojennej historii na uwagę zasługuje urządzona w czerwcu 2002 roku wystawa zatytułowana „Sycevice – wieś i jej historia”, obrazująca przeszłość i współczesność miejscowości. Część cennych materiałów archiwalnych udostępnił dawny mieszkaniec Sycewic, Walter Nagel z Berlina. Popularnością cieszyła się również otwarta 24 stycznia 2003 roku wystawa „Mieszkańcy Sycewic z naszego regionu podczas II wojny światowej”. Na inaugurację ekspozycji zaproszono najstarszych mieszkańców regionu.

Pod koniec stycznia 1997 roku do kościoła w Sycewicach ofiarował swoje rzeźby urodzony tu w 1925 roku artysta plastyk Henrich Eugen v. Zitzewitz, przedwojenny potencjalny właściciel miejscowości, który jednak po II wojnie światowej zamieszkał w Braunschweigu. Utrzymywał on dobry kontakt z ks. prob. Janem Terlikowskim. Sam wyszedł z inicjatywą zrobienia czegoś do wzniesionego kilka lat wcześniej kościoła. Jego wizja artystyczna precyzowała się dłuższy czas. Początkowo zastanawiał się nad aluminiowymi odlewami figur, które miałyby stanąć na zewnątrz kościoła. Później rozważał koncepcję namalowania wielkiego obrazu na całą szczytową ścianę prezbiterium, wreszcie zdecydował się na rzeźbę w drewnie. Motywem lipowej chrzcielnicy został krocący po wodzie św. Krzysztof. Na olchowej ambonie umieścił symbole czterech ewangelistów, z olchy wyrzeźbił również dolną część ołtarza. Później wykonał jeszcze tryptyk ukrzyżowanego Chrystusa, Matki Boskiej i św. Józefa.

Kombinat PGR Sycevice należał do bardziej znaczących w regionie zajmował powierzchnię 6.251 ha, w tym było 5.870 ha użytków rolnych, a w jego skład wchodziły Zakłady Rolne w Dobrzęcinie i w Sycewicach. Na trwałe w jego historii zapisał się dzień 30 października 1976 roku, kiedy to gościł tu sam I sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Edward Gierek, któremu towarzyszyli wojewódzcy dostojnicy partyjni oraz wojewoda słupski Jan Stępień. Pokazano mu fermę „tysiąca krów”. Jak odnotowano w lokalnej prasie, informacji E. Gierkowi udzielał wówczas: dyrektor przedsiębiorstwa Józef Matusik, jego zastępcy Wincenty Łukasik i Leonard Pozorski oraz kierownik fermy Andrzej Buko.

Eugeniusz Wiązowski, Kobylnica

drodze do leśniczówki. Jego powierzchnia wynosi 0,21 ha, charakter rozplanowania jest regularny, pozostały granice pierwotnego układu przestrzennego. Cmentarz ma układ wewnętrzny jednokwaterowy, mogiły ułożone są w rzędach, nagrobki zostały zniszczone. Przerzedzony drzewostan stanowią dęby, świerki i jesiony. Druga nekropolia o powierzchni 0,25 ha także zlokalizowana jest kilometr od wsi, przy drodze do leśniczówki, na terenie równym, w otoczeniu pól. Jej charakter rozplanowania jest regularny, zachowane są pierwotne granice układu przestrzennego. Cmentarz jest jednokwaterowy, pozostały widoczne rzędy, jednakże brak już na nich nagrobków. Luźny drzewostan stanowią lipy, dęby i brzozy. Granice wyznacza żywopłot z żywotnika.

Prawo niemieckie zezwalało na grzebanie właścicieli pałacików i dworków oraz ich krewnych w parkach. Rodowy cmentarz z początku XX w. w Sycewicach znajduje się we wschodniej części miejscowości, przy przecinającej park drodze brukowej. Zajmuje teren równy, otoczony drzewami, jego powierzchnia wynosi 0,06 ha. Zachowały się granice dawnego układu przestrzennego nekropolii Zitzewitzów, widoczny jest jej jednokwaterowy charakter oraz usytuowanie grobowca, porozbijano jednak nagrobki.

Z końca XIX w. pochodzi w Sycewicach budynek mieszkalny, tzw. „służbówka”. W

rodowy cmentarz z początku XX w. w sycewicach znajduje się we wschodniej części miejscowości

W Specjalnym Ośrodku Szkolno – Wychowawczym imienia Marynarza Polskiego w Damnicy odbył się drugi Ogólnopolski Przegląd Widowisk Bożonarodzeniowych.

Anioł przyleciał



Fot. J. Maziejuk

Ośrodek Szkolno – Wychowawczy w Damnicy jest pomysłodawcą i organizatorem tego ważnego przedsięwzięcia kulturalnego. Mamy nadzieję, że będzie to impreza cykliczna, która już na stałe wpisze się w kalendarz damnickich imprez – podsumowała prezentację Anieli Harmacińska, sekretarz Urzędu Gminy w Damnicy.

W tym roku główne hasło przeglądu brzmiało: „Anioł leci, a za nim gwiazda”; stanowi ona wers damnickiej pastorałki. Organizatorzy podczas całonocnej imprezy zapewnili wszystkim uczestnikom pełne wyżywienie, upominki, a zwycięzcom wręczono nagrody. – Jesteśmy szczęśliwi, że nasz przegląd cieszy się tak dużym zainteresowaniem. Już dzisiaj zapraszam wszystkich do Damnicy na kolejną edycję naszych Betlejek, które odbędą się za dwa lata – powiedziała na zakończenie Władysława Hanuszewicz - dyrektor ośrodka w Damnicy.

Paweł Lewandowski
Urząd Gminy w Damnicy

W tym roku udział w imprezie wzięło czterdzieści grup z całej Polski. Pojawiły się reprezentacje młodzieży z Turska, Koszalin, Chojnic, Słupska, Bytowa, Kościerzyny, Lęborka, Gdyni, Świątek. Gościem specjalnym był Zdzisław Szudrowicz - pomorski kurator oświaty. (Była to w ponad 50-letniej historii ośrodka pierwsza wizyta kuratora oświaty). – To wspaniałe przeżycie nie tylko dla wychowanków ośrodków szkolno – wychowawczych, ale także dla widzów jasełek. Dziękuję wszystkim wychowawcom za ogromny wkład pracy włożony w przygotowanie tego przeglądu – mówił Z. Szudrowicz, przekazując dzieciom drobne upominki i słodycze.

Treścią jasełek jest przedstawienie narodzenia Jezusa w Betlejem i spisku Heroda. Dzięki ogromnej wrażliwości dzieci przebywających w ośrodkach szkolno – wychowawczych jasełka charakteryzują się niepowtarzalną atmosferą, która często wynika ze spontaniczności zachowań młodzieży na scenie. Największą radość młodym artystom sprawiało wspólne śpiewanie kolęd i pastorałek, w których wykona-

nie włączała się cała publiczność.

– Udział w takim przeglądzie to wspaniałe przeżycie. Cieszymy się, że to właśnie



Fot. J. Maziejuk

PROMOCJA TOMIKU H. JURAŁOWICZ-KURZYDŁO

GARDNA WIELKA 2009



